N O W O Ś Ć !
KARDYNAŁ STEFAN WYSZYŃSKI
DUCH PRACY LUDZKIEJ
Stron 208. CENA 15/- (przesyłka 6 d.)
Płócienna oprawa. Barwna obwoluta.
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, PRAED MEWS, L O N D O N, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh -

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

ROK IX. Nr 30 (422)

NIEDZIELA, 24 LIPCA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

DEKLARACJA 9 UCZONYCH

W dniu 9 czerwca dziewięciu uczonych, pod przewodnictwem filozofa Bertranda Russella wydało deklarację, oświadczającą, że wojna atomowa grozi zagładą całej ludzkości i że jedynym wyjściem, aby uniknąć tej katastrofy, jest wyrzeczenie się wojny jako środka rozstrzygania sporów międzynarodowych.

W zakresie materiału faktycznego deklaracja ta nie wnosi niczego nowego. Poza bardzo ogólnikowymi twierdzeniami, że możliwa jest bomba o mocy 2.500 razy większej, niż ta, która wybuchła nad Hiroszimą, lub że „najwyższe autorytety są zgodne, iż wojna bombami wodorowymi może doprowadzić do zagłady ludzkości", lub wreszcie, że „im więcej eksperci wiedzą, tym są oni bardziej posępni", nie ma ani jednego nowego faktu, czy też naukowo uzasadnionej tezy, która by miała potwierdzić owe Mane, Tekel, Fares. Jeżeli do tego uwzględnić, że choć wśród podpisanych uczonych jest kilku wybitnych znawców fizyki atomowej, nie ma wśród nich ani jednego, który by brał obecnie czynny udział w pracach nad energią atomową, to łatwo dojść do wniosku, że dane ich, oparte o obliczenia czysto teoretyczne, przy założeniach — z konieczności rzeczy — mocno dowolnych, nie mogą mieć mocy przekonywującej. Raczej wydają się one zbyt naciągnięte, a miejscami nawet sprzeczne z faktami, jak np. twierdzenie o „najwyższych autorytetach", skoro właśnie najwyższe autorytety, mające do dyspozycji nie tylko dane teoretyczne, ale i wyniki doświadczeń praktycznych, członkowie Amerykańskiej Komisji dla Spraw Atomowych ogłosili wiosną tego roku raport całkowicie zaprzeczający tezie o możliwości zagłady ludzkości w wyniku wojny atomowej.

Już więc sam punkt wyjścia owej deklaracji uczonych, groźba zagłady ludzkości, jest przesadnym wyolbrzymieniem niebezpieczeństwa, niewątpliwie bardzo dużego niebezpieczeństwa, jakim grożą bomby wodorowe. Nie ulega wątpliwości, że bomba wodorowa mogłaby zniszczyć za jednym wybuchem miasta takie, jak: Londyn, Moskwa, Nowy Jork. Byłaby to więc olbrzymia katastrofa, lecz — jak zresztą twierdzą sami autorowie manifestu — nie byłoby to jeszcze równoznaczne z zagładą ludzkości.

Już to samo wyolbrzymienie rzeczywistych skutków bomb wodorowych i atomowych stawia rzeczywiste intencje autorów deklaracji pod znakiem zapytania. Jeszcze więcej tych znaków nasuwa się, gdy czyta się wnioski. Cóż owi uczeni proponują, aby grozy tej uniknąć? Uznanie, że wojna nie może być środkiem do rozstrzygania sporów międzynarodowych (wojna między państwami, skwapliwie dodaje Joliot-Curie; widocznie wojny domowej nie uznaje za zło!)? Ależ deklaracja taka zawarta jest w Karcie Narodów Zjednoczonych, a jednak nie przeszkodziła licznym wojnom, jakie komuniści rozpoczynali wszędzie tam, gdzie nie liczyli na silny opór. Cóż więc dać może nowa deklaracja?

Zakaz broni wodorowej, jak sami uczeni twierdzą, nie może w żadnym wypadku zapobiec użyciu tej bomby na wypadek wojny. Obawa odwetu, dodajmy od siebie, jest niewątpliwie bardziej skuteczna. Ale mimo to owych dziewięciu uczonych z powrotem odgrzebuje stary sowiecki postulat zakazu wojny atomowej, zakazu opartego o „wzajemne zaufanie" (o skutecznej kontroli międzynarodowej nie ma oczywiście ani słowa), jako pierwszego kroku do „odprężenia".

Jeśli się więc przyjrzeć wysuniętym postulatom, jakże dziwnie zgodnym z wszystkimi hasłami słynnych „kongresów pokojowych", całkowitemu znakowi równania, jaki autorowie owego manifestu stawiają między „światem komunistycznym" a „światem przeciwkomunistycznym", a wreszcie faktowi, że choć Einstein manifest ten podpisał kilka dni przed śmiercią, a więc trzy miesiące temu, ogłoszenie jego nastąpiło w przeddzień konferencji genewskiej — to łatwo się domyśleć, gdzie znajdują się ukryte źródła owej deklaracji.

Do tego samego wniosku prowadzi również i przyjrzenie się podpisom. Infeld, mocno za swe „reakcyjne teorie" zwalczany w Warszawie i ratujący się pracą propagandową dla komunizmu poza granicami oraz zawsze skory do posług propagandowych dla komunizmu Joliot-Curie, wyraźnie wskazują na to, że deklaracja ta odpowiada celom sowieckim. Potwierdza to również fakt, że jedynym nazwiskiem uczonego, sympatyzującego z tą deklaracją, jakie Russell może wymienić, to prof. Skobelcyn z Moskwy. Zmarły niedawno Einstein był zawsze dziwnie miękki, gdy chodziło o komunizm. Zauważmy dalej, że spośród wybitnych fizyków atomowych epoki obecnej manifest podpisali, poza Japończykiem Yukawą, jedynie Anglik Powell i Amerykanin Bridgeman, uczeni niewątpliwie wybitni, ale raczej gwiazdy drugiej wielkości na firmamencie atomowym. Z tych, którzy podłożyli fundamenty pod rozszczepienie atomu i którzy dziś na tym polu pracują, choćby nad zagadnieniami czysto pokojowymi, nie podpisał nikt. Co więcej, wśród licznych uczonych, którzy odmówili podpisu, znajduje się ośmiu laureatów nagrody Nobla, z tak wybitnymi fizykami atomowymi, jak Bohr, Compton i Urey na czele.

Pewne przykre zdziwienie budzi podpis Józefa Rotblata. Były profesor Wolnej Wszechnicy w Warszawie i czynny działacz Towarzystwa Anglo-Polskiego w Merseyside, przyznaje się i dziś jeszcze do polskości nie tylko w swym wywiadzie z Jasienczykiem („Vide" nr II/55), ale i wśród fizyków angielskich. Twierdził on również w tym wywiadzie, że zdaje sobie sprawę, iż komunizm jest śmiertelnym wrogiem. A jednak nie przeszkodziło mu to w podpisaniu manifestu wspólnie z niewątpliwymi agentami sowieckimi i podpisaniu się pod tezami, które w konsekwencji muszą przynieść utwierdzenie sowieckiego panowania nad Polską. Widocznie od roku 1946, kiedy to przyjął obywatelstwo angielskie (kwestia gustu; dla Polaka jednak ten rok wydaje mi się jakoś chyba najmniej odpowiedni, aby zmieniać obywatelstwo na angielskie), długą odbył drogę.

Jedna rzecz jeszcze uderza w tej deklaracji. Otóż dwukrotnie, na jej wstępie, autorowie podkreślają, że przemawiają jako członkowie „gatunku biologicznego - Człowiek", którego zachowanie uważają za rzecz najważniejszą.

Być może, że gdyby jakiś gatunek zwierząt domowych mógł wydać podobnego rodzaju manifest, zgodziłby się z tym, że trzymanie go w oborach, czy chlewach i posyłanie do rzeźni jest mniejszym złem, niż zagłada gatunku, choć i tego nie jest całkiem pewien.

Autorowie manifestu jednak zapomnieli, zgodnie z liniami wytycznymi nauki sowieckiej, że człowiek, to nie tylko „gatunek biologiczny". Jak słusznie podkreślił „Daily Telegraph", cała rzecz polega na tym, iż wolne ludy są zgodne co do tego, że nie warto żyć na świecie, jeśli świat ten ma być pod panowaniem komunizmu. I, jak gdyby w potwierdzeniu tych słów, te same pisma, które przytłoczyły ową deklaracją uczonych, przyniosły równocześnie oświadczenie wypuszczonych przez Chiny żołnierzy amerykańskich, którzy — zobaczywszy komunizm na własne oczy — oświadczyli „lepsza śmierć od komunizmu".

Niewątpliwie, groza wojny atomowej jest duża, skutki bomby wodorowej jeszcze straszniejsze, ale groźba zagłady całej ludzkości pod wpływem wybuchów atomowych jest grubo przesadzona. Toteż cała ta groza nie powinna nam zasłaniać faktu jeszcze większej groźby, wiszącej nad światem, groźby podboju komunistycznego. To komuniści bardzo chętnie stosują wyolbrzymioną grozę atomową, jako środka sparaliżowania woli odporu wolnego świata.

Mając dwa niebezpieczeństwa przed sobą, materialne i duchowe, pamiętać musimy o słowach Pisma Świętego: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą; ale raczej bójcie się Tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła" (Mat. 10, 28).

Tadeusz Felsztyn

„BIBLIOTEKA POLSKA" ROZSYŁA ABONENTOM I SUBSKRYBENTOM W TYGODNIU BIEŻĄCYM NOWY TOM SWEGO WYDAWNICTWA. - TOM OBEJMUJE PRACE KS. KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO P. T. „DUCH PRACY LUDZKIEJ"

LEON KOWNACKI

PROBLEM NEUTRALNOŚCI I NEUTRALIZACJI

Wyrazy „neutralność" i „neutralizacja" stały się ostatnio modne w świecie publicystyki i dyplomacji. Mówi się o neutralizacji Niemiec, o pasie neutralnym między Europą zachodnią a imperium sowieckim, o gwarancjach neutralności dla Formozy. Istnieje kierunek polityczny zwany neutralizmem, którego zwolennicy chcieliby pozostać na uboczu wielkiego konfliktu między Wschodem i Zachodem, podejmując się misji pośrednictwa lub po prostu chowając głowy w piasek. Pojęć państwa neutralnego lub zneutralizowanego nie używa się przy tym jednoznacznie, krótka więc analiza tych pojęć, choć nie mająca roszczeń do wszechstronnego oświetlenia problemu, może być pożyteczna.

CO OZNACZA NEUTRALIZACJA?

Neutralizacja jest zawsze wynikiem umowy międzynarodowej pomiędzy grupą mocarstw a państwem neutralizowanym, poręczającej temu państwu niepodległość i nienaruszalność jego terytorium pod warunkiem, że nie podniesie ono broni przeciw jakiemukolwiek bądź innemu państwu, chyba że zostanie zaatakowane i że nie przyjmie zadnych zobowiązań mogących pośrednio wciągnąć je w wojnę. Państwo neutralizowane rezygnuje zatem w dużej mierze z czynnego udziału w polityce międzynarodowej; państwa gwarantujące mu neutralność przyjmują do wiadomości tę rezygnację w interesie utrzymania równowagi sił lub utworzenia „państwa buforowego".

Klasycznym przykładem państwa zneutralizowanego jest Konfederacja Szwajcarska, uprawiająca politykę neutralności od czasu pokoju westfalskiego. Polityka ta uległa załamaniu w okresie wojen napoleońskich, gdy Republika Helwecka została związana przymierzem z Francją, lecz kongres wiedeński umożliwił nawrót do dwuchsetletniej tradycji. 20 marca 1815 roku Wielka Brytania, Austria, Francja, Portugalia, Prusy, Hiszpania, Szwecja i Rosja podpisały deklarację gwarantującą neutralność Szwajcarii, a w parę miesięcy później, 27 maja 1815 roku Szwajcaria przystąpiła do tej deklaracji. Kongres wiedeński potwierdził deklarację ośmiu mocarstw i od tego czasu Szwajcaria strzegła niezmiennie i skutecznie swej neutralności. Posunęła ona skrupulatność swą w tej dziedzinie tak daleko, że nie należy do Narodów Zjednoczonych, choć była w swoim czasie, wprawdzie z zastrzeżeniami, członkiem Ligi Narodów.

Państwami zneutralizowanymi były przed pierwszą wojną światową Belgia i Luksemburg, pierwsze z tych państw na mocy traktatu londyńskiego z roku 1839, drugie — na mocy takiegoż traktatu z roku 1867. Choć na obu tych traktatach widniał podpis przedstawiciela Prus, Niemcy w roku 1914 pogwałciły neutralność Belgii i Luksemburga. Traktat wersalski oraz traktaty w St. Germain i Trianon uchyliły międzynarodową gwarancję neutralności Belgii, nie mniej jednak państwo to wróciło w roku 1936 do polityki neutralności. Niemcy wszakże w roku 1940 dokonały ponownego najazdu na Belgię i Luksemburg.

NEUTRALIZACJA AUTONOMICZNA

Odmianą neutralizacji, prawnie i politycznie słabszą, jest tzw. neutralizacja autonomiczna, polegająca na jednostronnym oświadczeniu przez państwo, że chce ono we wszelkich okolicznościach pozostać neutralne. W art. 24 traktatu laterańskiego Stolica Apostolska oświadcza, że „nie życzy sobie i nie będzie brała udziału w żadnej rywalizacji doczesnej innych państw" i że Miasto Watykanu „ma być niezmiennie i w każdym wypadku uważane za terytorium neutralne i nienaruszalne". Przykładem neutralizacji autonomicznej jest też oświadczenie Islandii z roku 1918, że chce ona zachować neutralność „po wsze czasy". Przykładami nowszymi są Szwecja i — ostatnio — Austria.

Prawa i obowiązki państwa neutralnego określa konwencja haska z roku 1907. Państwo neutralne obowiązane jest zachować bezstronność w stosunkach z państwami znajdującymi się w stanie wojny; przyznając jakikolwiek przywilej jednemu z nich, musi go przyznać i pozostałym. Nie przestaje ono utrzymywać stosunków dyplomatycznych z państwami wojującymi, chyba że okoliczności wojenne wymagają czasowego ich przerwania. Nie może zezwalać na przemarsz wojsk państwa wojującego ani na przewóz dostaw wojennych przez swe terytorium; nie może też dostarczać żadnemu z państw wojujących środków pomocnych w prowadzeniu wojny, jak broń, amunicja, pieniądze, materiały strategiczne. Obowiązane jest wreszcie rozbroić i internować wojska strony wojującej szukające schronienia na jego terytorium, lecz może pozostawić na wolności zbiegłych jeńców wojennych. Neutralizacja nie ogranicza jednak państwa w jego prawie do zbrojeń; może ono utrzymywać takie siły zbrojne, jakie uzna za stosowne.

Państwa nie stają się zneutralizowane przez zawarcie umowy dwustronnej, zobowiązującej je do wzajemnego zachowania neutralności w razie wejścia jednego z nich w wojnę; nie jest też neutralnym państwo, nie biorące bezpośredniego udziału w wojnie między innymi państwami, lecz nie przestrzegające konwencji o neutralności. Nie jest wreszcie neutralizacją państwa umowa międzynarodowa uznająca część jego terytorium (rzeka, kanał) za neutralne lub podlegające ochronie międzynarodowej.

CZY ANACHRONIZM?

W jakiej mierze neutralizacja chroni państwo przed wciągnięciem w konflikt wojenny? Zależy to od wielu okoliczności, przede wszystkim od położenia geograficznego państwa. Jak świadczy historia obu wojen światowych, państwa leżące na linii ataku napastnika nie uniknęły najazdu. Najazd może jednak nie dojść do skutku, jeżeli napastnik uzna go za nieopłacalny bądź ze względu na możliwość uruchomienia gwarancji międzynarodowych i rozszerzenia w ten sposób konfliktu, bądź też z innych względów, jak przewidywanie poważnego oporu ze strony napadniętego. Państwa neutralne muszą liczyć bardziej na własne siły niż na świętość traktatów gwarancyjnych; zdają sobie z tego sprawę Szwajcaria i Szwecja. Lecz w wojnie przyszłości inna jeszcze groźba wisi nad państwem neutralnym: bomby wodorowe, nie atakując go nawet bezpośrednio, mogą je spustoszyć na równi z zaatakowanym sąsiadem. Na ograniczonej przestrzeni Europy zachodniej niewiele zostało miejsca na neutralność.

Czy wszystko to świadczy, że sama koncepcja neutralności stała się w świecie współczesnym przeżytkiem? Zależeć to może od przebiegu wojny. W konflikcie zbrojnym z Rosją Sowiecką, zakładającym możliwość sowieckiej ofensywy aż po Ren, neutralność państw leżących na drodze tej ofensywy stałaby się frazesem bez znaczenia. Nie chodzi tu tylko o motywy strategiczne i opłacalność ataku. Gdyby na Kremlu zapadła kiedykolwiek decyzja rozgrywki wojennej z Zachodem, żołnierze sowieccy ponieśliby na zachód żagiew rewolucji. Czy jest do pomyślenia, aby omijali w swym pochodzie pewne terytoria, pozostawiając za sobą jakieś oazy wolności? Mocarstwa zachodnie mogą respektować neutralność, nie uczyni tego Moskwa.

W świecie sowieckim nie ma neutralności. Doktryna, która głosi, że

(Dokończenie na str. 2)

KS. PAWEŁ SIWEK, T.J.

Kanonizacja to nie pogańska apoteoza

Fragment z konferencji „Arcybiskup Cieplak, bohater na ordynariuszach Chrystusa", wygłoszonej na uroczystej akademii ku czci arcybiskupa Cieplaka urządzonej staraniem Związku Młodzieży Polskiej w Ameryce, dnia 13 marca 1955 w Polskim Domu Narodowym, przez ks. prof. Pawła Siwka, T.J.

Protestanci nie znoszą słowa „kanonizacja". Uważają ją za pogańską **„apoteozę"**, przeszczepioną na teren chrześcijański. W starożytnym Rzymie Senat wpisywał uroczyście pewne jednostki w poczet **bóstw** rzymskich. Mówi nam o tym wielu pisarzy starożytnych: Cicero, Liwiusz, Plutarch, Laktancjusz itd. Wśród jednostek w ten sposób „apoteozowanych" znajdowali się np. mitologiczny Romulus, cesarz August itd. **Ten** to pogański zwyczaj — powiadają protestanci — wprowadził Kościół nieopatrznie do swego kultu, popełniając w ten sposób **bałwochwalstwo.**

Teza protestancka jest z gruntu fałszywa. Kanonizacja nie ma nic a nic wspólnego z rzeczoną „apoteozą". Bo naprzód „apoteoza" wliczała daną jednostkę w poczet „bogów", bożków. Kanonizacja natomiast wlicza go w poczet „sług Bożych", przyjaciół Bożych... Stąd też kult Świętych nosi w Kościele miano „dulia". Kult zaś Boga **latria.**

Druga różnica. Poganie starożytni apoteozowali osobnika dla jego **rozgłośnych** czynów, dla **wybitnych** zasług względem państwa, bez względu na jego wartość moralną, na jego cnoty. Przeciwnie, Kościół kanonizuje tylko dla **cnót**, i to dla cnót specyficznie chrześcijańskich. Żadne zasługi na polu politycznym, naukowym, artystycznym, socjalnym itd. nie wystarczają do kanonizacji. W ostatnich latach wyniósł Kościół na ołtarze św. Marię Goretti. Któż to był? Dwunastoletnia dziewczyna. Nawet pisać dobrze nie umiała. Sprzątała po domu, gotowała dla swej rodziny! Za cóż ona została kanonizowana? Za heroizm w dziewictwie, cnocie par excellence **chrześcijańskiej:** w obronie dziewictwa życie swoje oddała. Na podobną kanonizację zanosi się i w Polsce. Kroki wszczęte Karolka Kózka, 16-letnia dziewczyna spod Tarnowa, wolała zginąć z ręki kozaka, niż przystać na grzech (r. 1916).

Kult Świętych nie wywodzi się bynajmniej z pogańskiej „apoteozy", lecz z IX artykułu Składu Apostolskiego: „Wierzę w Świętych Obcowanie". W myśl tego artykułu wszyscy ci, którzy wyznają Chrystusa, stanowią jedną społeczność, jedną wielką rodzinę. Wszyscy oni ze sobą **„obcują"**: Świętych Obcowanie! Wszyscy stanowią jeden Kościół Chrystusowy, podzielony na trzy stopnie hierarchiczne: Kościół walczący (na ziemi), Kościół pokutujący (w czyśćcu), Kościół tryumfujący (w niebie). Między tymi trzema stopniami istnieją stosunki przyjaźni i wzajemnej **pomocy:** Kościół walczący wspiera swymi modłami, zasługami, odpustami dusze czyśćcowe. Święci w niebie, wzywani przez wiernych, wstawiają się za nimi do Boga. Wreszcie sami wierni na ziemi pomagają sobie wzajemnie w przeróżny sposób: przez modlitwę, przez dobry przykład, przez życzliwą radę itd. W ten sposób Święci w niebie, wierni na ziemi i dusze czyśćcowe stanowią jedno ciało, **Ciało Chrystusowe,** by użyć słów św. Pawła; ciało, którego wszystkie komórki ożywia jedna i ta sama krew, krew przez Chrystusa wylana; jedna i ta sama siła życiowa — „vis vitalis" — łaska przez Chrystusa wysłużona.

By być kanonizowanym nie potrzeba posiadać **żadnych** zgoła „karyzmatów": daru języków, jasnowidztwa itd. Zbyteczne są ekstazy, wizje, rewelacje, lewitacje, stygmaty itp. W rzeczy samej nie mają one żadnego wewnętrznego związku ze świętością. Można być świętym, wielkim świętym, choć się nie miało żadnego widzenia za życia...

Kanonizacja nie ma również nic wspólnego z „konsekracją". Ona nie **„tworzy"** świętości. Ona ją tylko nieomylnie **stwierdza.** Innymi słowy, tylko ta osoba może być przez Kościół kanonizowana, która już **za życia** była świętą. Świętość zdobywa się **w tym życiu.** Wśród nas, obok nas żyją Święci! Jak ich rozpoznać? Odpowiedź nie trudna. Świętość to **„heroizm cnót chrześcijańskich".** Święty zatem, to człowiek, który w praktyce cnót chrześcijańskich wybija się ponad dobrych, praktykujących katolików, jak się wybija ponad swoich dzielnych kolegów broni żołnierz, którego na polu bitwy krzyżem odznaczają. Heroizm cnót polega na pewnym blasku, przez który one zwracają na się uwagę, budzą podziw otoczenia. Cnota heroiczna ma się do cnoty zwyczajnej, jak geniusz do talentu. Nie ma tu miejsca dla różnicy istotnej. Zachodzi tylko różnica stopnia.

Osoba, która posiada cnoty chrześcijańskie w **heroicznym** stopniu, jest święta już za życia. A gdy w tym stanie umrze, zajmie miejsce wysokie u Tronu Boga. Wśród Świętych, których uroczystość zbiorową obchodzimy w dniu Wszystkich Świętych (dnia 1 listopada), olbrzymią większość stanowią właśnie ci Święci: Święci nieznani, bezimienni, bo niekanonizowani. Nie wolno nam atoli, żadnemu z nich oddawać czci publicznej, religijnej **z osobna,** czyli pod jego **własnym imieniem,** dopóki nie zostanie przez Kościół kanonizowany. Takie jest prawo kościelne. Prawo ze wszech miar słuszne. Inaczej w praktyce zakradają się bardzo łatwo pożałowania godne nadużycia, jak pokazuje historia: oddaje się cześć religijną zbyt pochopnie ludziom, którzy w swoim życiu prywatnym nie byli bynajmniej wzorami do naśladowania. I w ten sposób daje się ludziom okazję do zgorszenia.

Święty kanonizowany, każdy z nich, jest **wzorem** dla nas. Bo nie był kanonizowany — jakieśmy to dopiero zaznaczyli — dla jakichś wiekopomnych odkryć, dla zwycięstw na polu bitew, dla dzieł naukowych, ale dla cnót **codziennych,** dla tych cnót szarych, które każdy z nas ma praktykować dnia każdego! Święci są realizacją najdoskonalszą **człowieka jako człowieka.** Nie człowieka jako naukowca. Nie człowieka jako artysty czy polityka. Nie. **Człowieka jako człowieka!** W Świętym człowieczeństwo szczytów dosięga. Tu gloria Jerusalem, tu laetitia Israel, tu honorificentia populi nostri — Tyś chwałą Jeruzalem, tyś radością Izraela, tyś chlubą narodu naszego! Oni należą do **całej ludzkości.** Oni wstawiają się za wszystkimi, którzy ich wzywają — bez względu na ich rasę, narodowość, stan, klasę społeczną itd.

Atoli niektórzy Święci budzą w nas większe nabożeństwo niż inni. Bo zdają się nam **bliższymi** nas: narodowością, zawodem, trudnościami, z jakimi borykali się itp. Toteż mimo woli więcej do nich ufności nabieramy, jak gdyby oni szczególniej dobrze nas rozumieli. Modlitwa do nich jest gorętsza, serdeczniejsza, wytrwalsza. Czujemy więcej zapału do naśladowania ich cnót. Przez nabożeństwo do nich więcej w duchu rośniemy.

W rzędzie tych Świętych są — między innymi — Święci danego narodu.

Opatrzność Boża dała Polsce **tylu** Świętych. Irlandczycy szczycą się św. Patrykiem. I słusznie. Bardzo słusznie. Ale my wiemy, że św. Patryk wcale nawet Irlandczykiem nie był. Urodził się w Anglii z matki, która była siostrą (względnie krewną) św. Marcina, biskupa francuskiego. Był zatem Francuzem lub Anglikiem. Polska natomiast ma tylu Świętych! Gdy król Władysław Jagiellończyk wysłał raz posłów do papieża z prośbą o relikwie Męczenników, papież rzekł do nich: Przychodzicie aż tutaj szukać relikwii męczeników? Weźmijcie gródkę ziemi waszej. Ściśnijcie ją, a krew męczenników z niej wytryśnie! A w liturgii swej śpiewa Kościół po całym świecie — jak długi i szeroki — w dzień św. Stanisława: „Gaude, Mater Polonia, prole fecunda nobili! — Ciesz się, Matko Polsko, płodna matko Świętych!" Każdy stan, każdy zawód życia znajdzie wśród nich także swojego niebieskiego Patrona, swój swoisty wzór. Młodzież polska w anielskim młodzieniaszku św. Stanisławie Kostce. Uczony polski w św. Janie Kantym, profesorze Almae Matris Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ludzie, których los wyżej wyniósł (w wpływach, godnościach lub sławie) w św. Jadwidze, księżnie śląskiej, w św. Kazimierzu, królewiczu polskim. Ludzie, których życie toczy się w zaciszu domowym, w św. mnichach i męczennikach sandomierskich: Janie, Mateuszu, Izaaku, Krystynie. Kler zakonny w św. Jacku, dominikaninie, w św. Andrzeju Boboli, jezuicie. Kler świecki w św. Stanisławie, biskupie krakowskim. Gaude Mater Polonia, prole fecunda nobili!

Dałby Bóg, aby w rzędzie ich zjawił się jak najprędzej arcybiskup Cieplak. W tych mrocznych chwilach, jakie przeżywamy, będzie on dla nas pochodnią gorejącą w ciemną noc; będzie dla nas drogowskazem, jak iść ciągle naprzód, ciągle piąć się wzwyż, choć burza huczy wokoło nas. Będzie dla nas wzorem **jak walczyć** ze złem. Nie hańbiącymi kompromisami — kompromisami między Chrystusem a Baalem, między ideą a czynem, między teorią a praktyką; lecz wolą nieugiętą, silnie w sobie zwartą, zapatrzoną w wielkie zorze, które hen na horyzoncie naszego mrocznego dnia. Nadzieja nasza na Bogu oparta i rozpala i dzień tryumfu Sprawiedliwości i Miłości zapowiada.

Per aspera ad astra.

Ks. Paweł Siwek, T.J.

PROBLEM NEUTRALNOŚCI I NEUTRALIZACJI

(Dokończenie ze str. 1)

przyszłość świata należy do komunizmu, czyli że świat ma być rządzony przez Związek Sowiecki, uznaje tylko suwerenów i wasali, państwa okupowane nazywa neutralnymi. Co gorsza, nacisk sowiecki zmusił już parokrotnie mocarstwa zachodnie do przyjęcia tej koncepcji neutralności. Przedstawiciele administracji warszawskiej, uznanej za neutralną, są członkami komisji rozjemczych koreańskich i wietnamskiej, broniąc tam bez żenady interesów sowieckich i chińskich.

CHIMERY

Neutralność nie może istnieć bez pewnej miary obiektywizmu i tolerancji dla słabości, obiektywizm i tolerancja są jednak obce psychice ludzi rządzących Rosją. Nie do przyjęcia jest dla nich bezstronność państwa neutralnego w stosunkach z innymi państwami, uznają oni jedynie neutralność „za" lub „przeciw". Ich pojęcie neutralności jest zmienne, zależy od koniunktury i obowiązującej w danym okresie linii politycznej partii. Nehru był do niedawna „lokajem imperializmu", ostatnio zaś, gdy się okazało, że jego neutralność jest raczej „za" blokiem sowiecko-chińskim, a „przeciw" Zachodowi, przyjmowano go z wielkimi honorami w Moskwie.

Umysłowość sowiecka przywiązuje dużą wagę do form i pozorów wyzutych z wszelkiej treści. W Związku Sowieckim istnieją izby ustawodawcze, które nie są parlamentem, sądy pozbawione niezawisłości, gwarancje konstytucyjne praw obywatelskich, którym odpowiada terror polityczny totalnego państwa. To samo zamiłowanie do fikcji cechuje sowiecką politykę zagraniczną. P. Mołotow czynił aluzje do możliwości utworzenia pasa neutralnego od Szwecji do Jugosławii. Być może, że Moskwa zgodziłaby się w końcu, w zamian za odpowiednie koncesje ze strony Zachodu, na wycofanie swych wojsk z Europy środkowo-wschodniej i zwolnienie niektórych państw tego obszaru od udziału w pakcie „przyjaźni i wzajemnej pomocy", podpisanym przed dwoma miesiącami w Warszawie. W jej rozumieniu, powstałyby wówczas wszelkie warunki do proklamowania przez te państwa neutralności. Fakt, że pozostałyby tam filie KPZS w postaci lokalnych partii komunistycznych i oficerowie sowieccy na stanowiskach dowódczych, byłby dla niej bez znaczenia. Wszak są to, w pojęciu sowieckim, państwa suwerenne, mające swych przedstawicieli w ONZ i ambasadorów w stolicach państw zachodnich Zachód, mając zupełną świadomość fikcji, przez dziesięć lat zamykał na nią oczy.

PRZEPOWIEDNIA WILSONA

Dyskusja z p. Bułganinem i p. Mołotowem na temat neutralności może kryć w sobie pułapki dla Zachodu. Dyplomacja anglosaska zdaje sobie z tego sprawę. Zagadnienie państw opanowanych przez Związek Sowiecki wróciło na łamy prasy zachodniej, przewijało się w przemówieniach członków Rady Europejskiej na jej lipcowej sesji. Lecz doświadczenia dziesięciolecia wskazują na częstą niewspółmierność polityki z trzeźwym rozeznaniem sytuacji. Wyraz „odprężenie" magnetyzuje opinię publiczną; opinia ta, w niecierpliwym wypatrywaniu końca stanu niepewności, gotowa jest pozory przyjmować za rzeczywistość, uznać koncesję formalną za równoważnik pokoju.

Prezydent Wilson oświadczył po pierwszej wojnie światowej, że w przyszłej wojnie nie będzie państw neutralnych. Miał na myśli obowiązek solidarności członków Ligi Narodów w utrzymywaniu pokoju i bezpieczeństwa. Solidarność okazała się fikcją, przepowiednia niezupełnie się sprawdziła: pożoga drugiej wojny ominęła nieliczne państwa, których atakowanie nie leżało w interesie sztabów Wehrmachtu. Może się jednak sprawdzić w trzeciej wojnie światowej, jeżeli do niej dojdzie i jeżeli Zachód nie potrafi zbudować barier na linii komunistycznego ataku. Czołgi sowieckie nad Atlantykiem — to koniec idei neutralności. Groźba nierealna? Być może — na przeciąg lat najbliższych. Lekkomyślne byłoby założenie, że nierealność jej przetrwa choćby okres życia jednego pokolenia.

L. K.

ZOFIA KOSSAK

Rok Polski

Stron 238 CENA 25/-

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

ŻYCIE W POLSCE W DAWNYCH WIEKACH

Stron 194 CENA 25/-

HENRYK RZEWUSKI

PAMIĄTKI SOPLICY

Stron 292 CENA 15/-

Do nabycia:
Katolicki Ośrodek Wydawniczy
VERITAS
12 Praed Mews, London, W. 2.

JÓZEF EKKERT

MUZYKA POLSKA W ENCYKLOPEDII ANGIELSKIEJ

Ukazanie się piątego wydania encyklopedii muzycznej Grove'a, było nie lada wydarzeniem w zakresie tego rodzaju wydawnictw.*) Dziesięciotomowa encyklopedia należy do największych encyklopedii muzycznych świata. Zawiera ona całokształt zagadnień związanych z twórczością muzyki instrumentalnej i wokalnej, z wykonaniem tej muzyki, z produkcją instrumentów i z wynalazkami w tej dziedzinie dokonywanymi. Prócz obszernego przedstawienia muzyki i jej spraw u narodów anglosaskich, podaje również dokładne wiadomości o muzyce Francji, Niemiec i Włoch. Muzyka polska zajęła w tym wydaniu poważne miejsce; w porównaniu ze 140 hasłami czwartego wydania tej encyklopedii w roku 1940, znajdujemy w najnowszym wydaniu przeszło 680 artykułów i haseł, przy czym tylko kilkanaście zatrzymano bez zmian z wydania czwartego; reszta jest zupełnie nowym przedstawieniem, uwzględniającym zmiany zaszłe w okresie czternastolecia.

Przygotowanie działu polskiego, na emigracji, nie było rzeczą łatwą, z dala od polskich ośrodków kultury muzycznej i bibliotek ze zbiorami polskiej muzyki. Ankiety przesyłane nie zawsze przynosiły pożądaną odpowiedź, jeśli ją w ogóle przynosiły. Autorowi działu polskiego pośpieszył z nader skuteczną pomocą ś. p. prof. A. Chyliński. On to z prywatnych swych zbiorów przesłał tak pokaźny materiał, że opracowanie muzyki polskiej mogło ruszyć z miejsca. Tylko nieliczne artykuły wyszły spod pióra specjalnie uproszonych muzykologów. Artykuł o Chopinie, jego twórczości muzycznej i maestrii gry fortepianowej napisał angielski biograf Chopina Artur Hedley. Artykuł o polonezie napisał prof. muzykologii dr Wł. Reiss. Przeważająca większość materiału pochodzi od p. Czesława Halskiego.**)

Obszerny materiał, odnoszący się w Encyklopedii do muzyki polskiej, gdyby został ujęty w oddzielną książkę, złożyłby się na tom o kilkuset stronach. Wobec tak szerokiego potraktowania naszej muzyki, czytelnik polski znajdzie tu wiele materiału, którego by na próżno szukał w innych tego rodzaju obcych wydawnictwach. Średniowieczną muzykę polską zaczyna nasz najstarszy zabytek „Bogurodzica", wraz z melodią dwu zwrotek. Wielogłosowa muzyka średniowieczna religijna, reprezentowana jest przez Mikołaja z Radomia, muzyka, żyjącego na dworze Władysława Jagiełły w pierwszej połowie XV wieku.

Inną nowością działu polskiego jest wprowadzenie na łamy encyklopedii wielu muzyków złotego wieku Zygmuntów. Poczet ich otwiera Sebasiaj z Felsztyna, kompozytor i teoretyk muzyki. Po nim z kolei przed oczyma czytelnika przesuwają się postacie Mikołaja z Krakowa, miłośnika folkloru muzycznego, Jana z Lublina i świetnego kompozytora, którego utwory dziś jeszcze się wykonuje, Wacława Szamotulczyka. Marcin Leopolita komponuje śpiewy na cały rok kościelny, a Mikołaj Gomółka tworzy muzykę do Psałterza Dawida, ubierając tekst polski Kochanowskiego w formę muzyczną prostą i dostępną dla szerokich sfer społeczeństwa.

Utworzenie kapeli Rorantystów przez króla Zygmunta I w katedrze na Wawelu sprzyja wytworzeniu się w Krakowie ruchliwego ośrodka kultury muzycznej. Na dworze królewskim bawi słynny swego czasu lutnista, Niemiec z Siedmiogrodu Bakfark; później za czasów Batorego bawi lutnista Długoraj. Znaczenie Krakowa jako ośrodka kultury muzycznej maleje, (jakkolwiek i później muzyka w Krakowie nie milknie), z chwilą przeniesienia stolicy państwowej z Krakowa do Warszawy, z końcem XVI wieku. Powstanie w nowej stolicy kapeli królewskiej ściąga do Polski liczne zastępy muzyków włoskich, ku pożytkowi muzyki polskiej i sprzyja zapoznaniu się z wysoko postawioną muzyką włoską.

Wielki talent pierwszej połowy XVII wieku zajaśniał w rezydencji prymasa Baranowskiego w Łowiczu. Jest nim świetny muzyk Mikołaj Zieleński, którego utwory staraniem prymasa drukują się w Wenecji w 1611 r. Spośród muzyków kapeli królewskiej bogatą spuściznę kompozytorską zostawił Marcin Mielczewski. Bartłomiej Pękiel zamyka świetny poczet muzyków pierwszej połowy XVII wieku. W swoich utworach (muzyka ówczesna uprawiała niemal jedynie muzykę kościelną) opracowywał artystycznie motywy ze znanych pieśni Bożenarodzeniowych i Wielkanocnych.

Na przełomie wieku XVII i XVIII działa wybitny muzyk Grzegorz Gorczycki, który prócz innych utworów skomponował śpiewaną dzisiaj jeszcze w czasie imprez patriotycznych pieśń: „Gaude Mater Polonia".

Ważnym etapem w historii naszej muzyki jest druga połowa XVIII wieku, za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Są w tym okresie narodziny polskiej muzyki operowej, co prawda o bardzo skromnym poziomie, lecz wykorzystującej motywy muzyki ludowej i libretta oparte na tematyce rodzimej. Oprócz Macieja Kamieńskiego, rozwija w tym duchu twórczość Jana Stefani, pochodzenia czeskiego, którego „Krakowiacy i Górale" cieszą się na scenach teatrów polskich długotrwałym powodzeniem. Twórczość ta, przemawiająca w sposób bezpośredni do słuchacza, przyczynia się do rozbudzania uczucia patriotycznego, które zresztą gorąco promieniowało z wielu przemówień i prac Sejmu czteroletniego. Twórczość kompozytorska Michała Kleofasa Ogińskiego, autora wielu liryzmem owianych polonezów, rozbrzmiewała nie tylko w Polsce, lecz także za jej granicami. Gorącym przejawem patriotycznego czynu po ostatnim rozbiorze, a zarazem orężnym protestem przeciw niemu, była organizacja Legionów pod dowództwem generała Henryka Dąbrowskiego. W tym to środowisku patriotycznym pierwszej połowy wieku XIX wykwita najsławniejsza polska pieśń zwłaszcza „Jeszcze Polska nie zginęła", z tekstem Józefa Wybickiego, podłożonym pod mazurek ludowego pochodzenia. O tej pieśni żołnierskiej, która z czasem stała się hymnem narodowym, czytamy hasło opracowane przez Donalda R. Wakelinga. Niektóre opinie w tym wstępie wypowiedziane wymagają sprostowania. Przede wszystkim prostujemy notatkę o stopniu generalskim Józefa Wybickiego, który nawet jako osoba cywilna nie był na etacie legionów; spełniał rolę anioła zgody w sporach politycznych wśród gromady legionowej. Rok 1795, w którym ta pieśń po raz pierwszy miała być śpiewaną, należy traktować jako błąd drukarski. Pieśń bowiem powstała w Reggio w lipcu 1797 r. przyjęta z aplauzem przez legionistów. Również nie można tolerować twierdzenia, że pieśń śpiewano powszechnie dopiero do roku 1812. Jest bowiem wiele doniesień do policji gubernium lwowskiego (w r. 1798) o śpiewaniu zakazanej tej pieśni. W 1806 roku, w listopadzie, cały Poznań rozbrzmiewał od dźwięków „Jeszcze Polska nie zginęła", kiedy to Dąbrowski i Wybicki z polecenia Napoleona przybyli na teren Wielkopolski, aby dźwignąć ją i poruszyć do zbrojnego ruchu przeciw Prusakom. Rok 1812 — rok klęski Napoleona — spycha znów pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła" do podziemia, z którego na światło dzienne wychodzi dopiero w Galicji w roku 1867, po nadaniu liberalnej konstytucji narodom Austrii i Węgier.

Elsner i Kurpiński kontynuują swoją twórczość kompozytorską śladem Stefaniego. Elsnerowi przypada w udziale organizacja ruchu muzycznego w Warszawie; kierunek utrwala działalność Kurpińskiego, gdy po ustąpieniu Elsnera staje na czele opery warszawskiej. W tym żywym środowisku muzycznym, rozwija się talent Chopina, który już jako młodzieniec zwraca na siebie ogólną uwagę Warszawy i całej Polski. Piękny artykuł Artura Hedley'a o Chopinie podkreśla jego znaczenie jako wirtuoza fortepianu i jako genialnego twórcy utworów komponowanych przeważnie na fortepian.

Prof. Reiss omawia w swym ustępie o polonezie, rozwój tej formy muzycznej, która początkowo z prostego tańca, pod twórczym tchnieniem talentu Chopina wspięła się na wyżyny artystycznej doskonałości.

Obszerny artykuł o folklorze, napisany przez Halskiego, należy do najobszerniejszych tego rodzaju w encyklopedii. Rewelacją tego artykułu, między innymi, jest wywód o polskości tańca p o l k a, o którym ponawała dotychczas opinia, że jest tańcem czeskim. Inne nowości, mogące wzbudzić zainteresowanie polskiego czytelnika, to hasło o hejnale krakowskim, o międzynarodowym festiwalu chopinowskim urządzonym w Warszawie; hasło o kolędzie przypomni najradośniejsze święto związane z tak różnorodną tradycją polską, trwającą nieprzerwanie kilka wieków i tak po bohatersku chronioną obecnie przez lud. W ustępie „Polonia" czytamy o trzech tej nazwy utworach muzycznych. Pieśń Kurpińskiego „Litwinka", wykorzystana przez Ryszarda Wagnera w koncertowej uwerturze „Polonia". Chorał „Z dymem pożarów" znalazł zastosowanie w symfonicznym preludium Elgara; trzeci utwór „Polonia" — to Młynarskiego symfonia F-dur, oparta na wielu pieśniach polskich. Świat śpiewaczy z zadowoleniem przyjmie wzmiankę o „Chórze Wojska Polskiego" (Polish Army Choir) i jego działalności koncertowej w latach 1940-1945 na terenie Zjednoczonego Królestwa.

W muzyce po Chopinie doczekał się obszernego omówienia Stanisław Moniuszko, twórca nie tylko naszej opery dorównującej poziomem operom zagranicznym, lecz także kompozytor pieśni artystycznej. Jego twórczość w tej dziedzinie kładła podwaliny dla rozwoju pieśni. Opery „Halka", „Straszny Dwór" nie schodzą ze scen polskich od czasu ich powstania. O Karolu Szymanowskim, największym po Chopinie muzyku polskim, dowiadujemy się jak pod wpływem słyszanej w Elizawetgrodzie „Rusałki" Dargomyżskiego, a w Wiedniu — „Lohengrina" R. Wagnera, zdecydował się, młodzieńcem wówczas będąc, poświęcić się muzyce. Na tle szkicu biograficznego kompozytora, śledzimy rozwój jego talentu, posiadającego tak wybitną indywidualność. Opera „Król Roger", zaczerpnięta z podań sycylijskich, grana była w kraju i za granicą; ostatnio — w Londynie. Spotkanie Szymanowskiego z prof. Chylińskim i dłuższy pobyt w Zakopanem, bezpośredni kontakt z muzyką góralską, znalazły wyraz w balecie „Harnasie"; libretto napisał Rytard, wraz z żoną Heleną, oboje pochodzenia góralskiego. Pieśni kurpiowskie noszą znów znamię folkloru muzycznego polskich nizin. Serca polskie skłonił Szymanowski ku sobie przede wszystkim utworami o rytmie i linii melodii miłej dla ucha polskiego. Wybitna indywidualność muzyczna zjednała mu za granicami Polski uznanie, jako wielkiemu kompozytorowi. Przedwczesny zgon przerwał jego prace; pochowany jest na Skałce na koszt państwa (w 1937 r.), w grobach ludzi zasłużonych.

Współczesna muzyka polska zajmuje w encyklopedii poważne miejsce. Warszawa, jako stolica Polski odrodzonej, rozrośnięta do miasta liczącego z górą milion ludności, była naturalnym centrum muzycznym kraju. Spośród wybitniejszych muzyków po zgonie Szymanowskiego naczelne, przodujące miejsce zajął Ludomir Różycki. Wielostronna była jego twórczość muzyczna, największe jednak uznanie zjednała mu popularna muzyka baletowa: „Pan Twardowski" był właśnie utworem rozbrzmiewającym ze sceny na uroczystych przyjęciach znakomitych gości, czy uroczystościach o charakterze reprezentacyjnym. Operę komiczną „Casanova" przyjęto chłodniej przez krytykę. Utwory Różyckiego grywano na terenie Niemiec. Zmarł w 1953 r. Inny kompozytor o twórczości różnorodnej — to Jan Maklakiewicz; komponuje liczne pieśni na chór i orkiestrę; poemat symfoniczny „Grunwald", balet „Złota kaczka". Balet „Cagliostro w Warszawie" (grany w Czechosłowacji i Rosji Sowieckiej). Pieśń o burmistrzance, muzyka filmowa. Zmarł w 1954 r. Ludomir Rogowski, przebywał i pracował we Francji, przeniósł się jednak po czasowym pobycie w Polsce do Dalmacji, gdzie na motywach bujnego folkloru południowych Słowian tworzył, zyskując uznanie w Jugosławii. Utwory kameralne. Twórczość jego nacechowana modernizmem. Zmarł w 1954 r. w Dalmacji. Muzykiem, cieszącym się wielu sukcesami za granicą Polski był Feliks Nowowiejski, urodzony na Warmii, zachował polskość i gorącą wiarę. W kraju pozyskał sławę przez oratorium „Quo vadis". Opery: „Legenda Bałtyku" i „Dzwon Zygmunta" nie znalazły uznania. Komponuje wiele utworów chóralnych i balety: „Wysokie Tatry" — 3 akty, „Polskie wesele" i uwertura „Swaty Polskie". Zmarł w 1946 r.

Ze współczesnych żyjących twórców cieszą się uznaniem za granicą: Roman Palester, ur. 1907 r. w Śniatynie; jego symfonie grywane są często na scenach europejskich. Stale przebywa na terenie Niemiec. Rówieśnik jego Antoni Szałowski zdobywa złoty medal w Paryżu (1937 r.). Uwertura grana w Warszawie w 1939 r.; kwartet smyczkowy wykonany w Nowym Jorku i Amsterdamie.

Z młodszych kompozytorów, zajmujący wśród kompozytorów polskich wybitne miejsce, Andrzej Panufnik, opuszcza w 1954 r. Kraj i osiedla się w Anglii. Utwory jego grywane są również poza granicami Polski. „Uwertura tragiczna" wykonana w Londynie w 1954 r. Z wybitnych wirtuozów polskich, Ignacy Paderewski, prócz uznania i sławy świetnego pianisty, którą zyskał na obu półkulach, pozostawił również utwory własnej kompozycji („Manru"). Świetny wykonawca Chopina Artur Rubinstein urządza koncerty w Ameryce i Europie, mieszkając na przemian na obu kontynentach. Koncerty fortepianowe Witolda Małcużyńskiego cieszą się ogromnym uznaniem rodaków w Londynie i innych miastach Anglii i Europy.

Ze sławnych polskich skrzypków — obszerne wzmianki poświęcone są w encyklopedii Karolowi Lipińskiemu, koncertującemu razem z Paganinim, Henrykowi Wieniawskiemu i Bronisławowi Hubermanowi. Na terenie Londynu występuje świetny skrzypek i kompozytor Wacław Niemczyk.

Szereg znakomitych śpiewaków polskich reprezentuje, m. in., Adam Didur, słynny na obu półkulach bas. Ze śpiewaczek polskich (zmarła niedawno) Janina Korolewicz Waydowa, sopranistka, dała niezapomniane kreacje w „Halce" i „Madame Butterfly". Dwukrotnie kierowała operą warszawską. Znana wypowiedź z okazji jubileuszu, urządzonego na jej cześć w Krakowie w 1947 r.: „Żyłam, aby śpiewać, a nigdy nie śpiewałam, aby żyć". Świetny tenor Jan Kiepura osiągnął światową sławę w kreacjach operowych i filmowych. Żyje poza krajem. Na gruncie londyńskim niestrudzenie pracuje świetny bas o mile brzmiącym głosie Marian Zygmunt Nowakowski, artysta opery Covent Garden. Opanował wiele ról w kilku językach.

Obszerne przedstawienie na łamach encyklopedii muzyki polskiej jest niewątpliwie bardzo potrzebną propagandą polskiej muzyki wśród ludów anglo-saskich. Oby w ślad za nią częściej rozbrzmiewała muzyka polska w audycjach radiowych tych krajów.

Józef Ekkert

*) Grove's, **Dictionary of Music and musicians.** Fifth edition edited by Eric Blom. 9 volumes, London, MacMillan and Co. Ltd. New York, St. Martin's Press. 1954.

**) P. Czesław Halski, ur. we Lwowie 1908 r., rozpoczął studia muzyczne pod kierunkiem Mieczysława Sołtysa. Uczestnik drugiej wojny światowej, wstępuje na terenie Anglii do wojska polskiego, dosługując się stopnia por. lotnictwa. Po skończonej wojnie kończy w Londynie studia muzyczne. Komponuje utwory instrumentalne, liczne pieśni do słów polskich i angielskich.

LITERATURA POPULARNO-NAUKOWA

ZIEMIA POD NASZYMI STOPAMI

Ukazało się ostatnio dzieło prof. H. H. Swinntertona pod obiecującym tytułem: „Ziemia pod naszymi stopami" („The Earth beneath us"). Książka ta należy do kategorii, tak licznych dziś, popularnych opracowań kosmologicznych, dotyczących ewolucji wszechświata; nie byłoby więc specjalnego powodu do jej omawiania, a jednak, gdy zamknie się ten tom o historii życia na ziemi, oraz o biologicznym rozwoju człowieka, nasuwa się pośrednio wiele refleksyj i najbardziej istotne zagadnienia bytu stają przed oczami. Tytuł pozwalałby spodziewać się po tym dziele czegoś więcej, niż w nim znajdujemy: „Ziemia pod naszymi stopami"— brzmi to romantycznie, nawet mistycznie. Można by oczekiwać, że autor, opisując ziemię, wskaże nam też, jak duch ludzki nad materią się wznosi; sprawia nam pewien zawód, że tego nie znajdujemy; że „The Earth beneath us" jest tylko typową książką naukowo-przyrodniczą, że mówi nam tylko o ewolucji materii, od czasu, gdy ziemia była mgławicą roztopionych pierwiastków, błąkających się w przestworzach, aż do dni naszych. Znajdujemy w niej natomiast syntetyczny wykład astronomii, geologii i biologii, uszeregowanie teoryj zaczerpniętych z badań we wszystkich dziedzinach nauki o przyrodzie.

Znajdujemy też w książce Swinnertona znane skądinąd cyfry dotyczące odległości ciał niebieskich i czasu trwania tej, czy innej fazy geologicznej. A więc ziemia nasza liczy już sobie 3.000 milionów lat; niektóre okresy lodowcowe trwały... jak wiadomo... 20 tysięcy lat, a inne 50 tysięcy lat itp. Cyfry te wzbudzają w nas podziw dla osiągnięć nauki, lecz wywołują jednocześnie nieco uczuć... mieszanych; jak gdyby szczyptę sceptycyzmu, jak gdyby trochę niedowierzania. Przychodzi nam mimowolnie na myśl: do jakiego stopnia to żonglowanie wielkimi cyframi jest usprawiedliwione? Wiedza wieków ubiegłych wydaje nam się dziś małą — wiedza nasza będzie zapewne wydawała się również małą przyszłym pokoleniom. Tymczasem — uwagi te dotyczą nie specjalnie książki Swinnertona, lecz wielu dzieł tego rodzaju — bieg opowiadania rozwija się lekko i swobodnie, z tą lekkością i swobodą, z jaką patrzy się na rzeczywistość przez okulary łatwego uproszczenia światopoglądu czysto materialistycznego. Wspaniały rozwój techniki jest rezultatem badań doświadczalnych, lecz doświadczenia wstecz nie można dokonać; wszystko co nauka mówi nam o dalekich początkach ziemi i człowieka jest tylko opończą, pokrywającą naszą nieświadomość; dobrze, jeżeli fałdy tej opończy jako tako się schodzą, zarysowując, z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem, fakty przed nami ukryte. Uczeni o sercu sprawiedliwym i jasnym umyśle muszą przeżywać momenty refleksyj, momenty, w których uświadamiają sobie względność swych osiągnięć w dziedzinie objaśnień zasadniczych zagadnień bytu. Niewątpliwie, pełen pychy, dogmatyzm filozofii materialistycznej wchodzi w okres kryzysowy. Zapewne dziś jeszcze, rozumując pod wpływem doktrynalnego terroru, niektórzy uczeni zapowiadają, że zbliża się już chwila, gdy w laboratorium, z procesu fizyczno-chemicznego, osiągnięte będzie pełne wyjaśnienie istoty życia, a więc i życia człowieka, jednak większość badaczy coraz częściej zauważa, że jesteśmy otoczeni tajemnicami nie tylko samej przyrody, lecz tajemnicami na innym poziomie. Tajemnice przyrody, tajemnice struktury materii i działania sił w niej zawartych, nauka stopniowo, po części przenika, lecz nie udało jej się wyjaśnić żadnej z tych tajemnic ducha, o której mówi ludzkości Objawienie, o początku, o końcu, o celu życia.

W książce prof. Swinnertona znajdujemy rysunek, przedstawiający w formie diagramu, jak sobie wyobrażano w dawnych wiekach wszechświat. Nad ziemią, płaską wyspą, pływającą wśród wód, roztacza się pierwszy łuk sklepienia niebieskiego, za nim 1-sze niebo; wyżej 2-gie niebo, siedziba słońca i gwiazd; wreszcie niebo najwyższe, w którym unoszą się postacie anielskie... Oczywiście dziś nie wyobrażamy sobie wszechświata w ten sposób, lecz zapytać można, czy w tym naiwnym rysunku, stwierdzającym istnienie hierarchii różnych poziomów rzeczywistości nas otaczającej, nie było więcej prawdy symbolicznej, niż w gołosłownym twierdzeniu, że wokoło nas i nad nami nie ma nic poza jednolitą materią w jej nieustających przemianach bez początku, bez końca i bez celu? Czy nie zawiera on więcej prawdy, niż rysunek drzewa genealogicznego żywych stworzeń (jakie znajdujemy dalej w omawianej książce) skreślony dla udokumentowania, że człowiek jest wyłącznie takim samym płodem ewolucji natury, jak wszechświat i zwierzęta? A gdy czytamy, że człowiek pochodzi od małpy, co prawda nie takiej, jaką podziwiamy w ogrodach zoologicznych, lecz od małpy, która żyła 30 milionów lat temu, to nie możemy powstrzymać się od pytania — czy na pewno 30 milionów lat temu? A może 100 milionów lat? A może to w ogóle jest tylko „naukowa" legenda? Czy nie należy tu zastosować teorii Einsteina o względności czasu, a może naukowego poznania w ogóle? Trochę pokory? Przejrzawszy wszystko, co tzw. ścisła nauka może nam powiedzieć o wszechświecie — stajemy rozczarowani: to tylko tyle? I to jeszcze tak mało pewne!

Prof. Swinnerton nie daje swych własnych teoryj. Przeważnie ogranicza się do zestawiania wyników badań autorytetów naukowych i do podawania ogólnie przyjmowanych w świecie naukowym systemów i opinii.

Jednak od czasu do czasu zamyśla się nad ich słusznością usiłując wyjść myślą poza nie. Zaletą książki jest to, że istnieją w niej te momenty wątpliwości, że mówi się w niej i o tym jak niewiele wiemy mimo wszystko, a także i o tym, że umysł ludzi na próżno jak dotąd usiłuje dociec tajemnic bytu. Uderza i to, że gdy autor cytuje zdanie, iż „w nieskończoności wszechświata tworzone są bez przerwy przez »Ostateczną Rzeczywistość« coraz to nowe elektrony, niezliczone nowe źródła energii", używa jednak wielkich liter do słów »Ostateczna Rzeczywistość«.

Na ostatniej stronie książki czytamy:

„Do czego to wszystko (tj. ewolucja przyrody i człowieka) zmierza? Jest to jedna więcej tajemnica, wieńcząca wszystkie już wyżej wspomniane tajemnice bytu. Tajemnica tworzących się bez końca nowych układów i przemian elektronów, atomów i molekuł, komórek, tkanek i organów. Tajemnica nowych właściwości, objawiających się przy każdej nowej przemianie; życie, świadomość w ogóle i auto-świadomość; umysł, wola i miłość". „Są to tylko przewody najgłębszych tajemnic, które leżą na dnie i otaczają wszystkie rzeczy widzialne i odczuwalne, rzeczy, które są obiektami naukowych badań i dociekań"... Lecz po tym szczerym i wzniosłym wyznaniu prof. Swinnerton dodaje: „Cel ostateczny nie może być objęty przez wyobraźnię... lecz tak długo, póki przyroda trzyma nadal swe dziecię (tj. człowieka) na swych kolanach, ono może iść naprzód z nadzieją i zaufaniem"...

„Przyroda"... jest to również słowo tajemnicze... Uczeni hołdujący materialistycznemu światopoglądowi zarzucają zwykle ludziom religijnym, że wierzą w prawdy, które nie są poparte dowodami materialnymi, lecz objawione przez siły tajemne, lub intuicję proroków. Tymczasem sami podają nam do wierzenia, jako dogmaty, jako prawdy naukowe, tylko swe własne niesprawdzone domysły i dialektyczne formuły swych abstrakcyj. Dwieście lat temu sądzono, że umysł ludzki sam z siebie wysnuje zrozumienie wszechrzeczy. Sto lat temu zaczęto szukać pewników filozoficznych w pracach laboratoryjnych. Ta iluzja dziś się rozwiewa, gdyż uczciwy badacz natury przyznać musi, że docieranie do głębin mechanizmu materii, ani na jotę nie posunęło naprzód objaśnienia tych tajemnic bytu, które człowiek uważa za zasadnicze, za najważniejsze. Można zapewne, negując wszystkie trwożne pytania, powstałe od wieków w duszy ludzkiej, zaintegrować człowieka do masy przyrody i widzieć jego szczęście w pełnym włączeniu jednostki w automatyzm materii. Są ludzie, którzy uważają to za teorię optymistyczną! Tych, którzy wierzą w osiągnięcia szczęścia w doskonaleniu, we wzniesieniu się na poziom rzeczywistości wyższy niż znana nam materia, nazywa się pesymistami. Czy nie jest właśnie na odwrót?

Człowiek niezawodnie przedstawia twór o naturze dwoistej. Po części objęty jest automatyzmem materii, lecz jednocześnie związany jest rzeczywistością innej kategorii. Na przyrodę człowiek patrzy jak na rzeczywistość, od której może być oddzielony, jako na obiekt od siebie różny. Ani z umysłu własnego, ani z obserwacji otaczającej go materii człowiek nie wydobył odpowiedzi na pytania, które są realnością jego życia duchowego, na pytania bytu. Tylko wiara i Objawienie odpowiedź tę zapowiadają, dając człowiekowi nadzieję, że kiedyś, na innym poziomie istnienia, będzie mu dane poznać całą prawdę, istotę wszechrzeczy. Jeżeli zjawiska świata materii są faktami rzeczywistości, to i Objawienie jest również faktem rzeczywistości, lecz z tym, że odnosi się do rzeczywistości na wyższym poziomie, niż to istnienie, jakie realizujemy dziś na ziemi.

Feliks Frankowski

NOWOŚĆ!
T. LEHR-SPŁAWIŃSKI

ROZPRAWY I SZKICE

Z DZIEJÓW KULTURY SŁOWIAN

Katolicki Ośrodek Wydawniczy
VERITAS
12 Praed Mews, London, W. 2.

BŁOGOSŁAWIENI MĘCZENNICY REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

Jeden z najwnikliwszych historyków końca wieku XIX i początku XX, Godfred Kurth, Belgijczyk, zmarły w roku 1916, napisał w roku 1898 niewielką książeczkę (w małym formacie 200 stron) pt. „Kościół w przełomowych godzinach historii". Książeczka, ta, która wyszła w wielu wydaniach i wartość swą zachowała po dziś dzień, przedstawia w kilku rozdziałach Kościół katolicki wobec Żydów w zaraniu jego dziejów. Kościół wobec barbarzyńców wieków następnych, wobec feudalizmu, neo-cezaryzmu, renesansu i rewolucji.

W rozdziale „Kościół a rewolucja" autor przeprowadza tezę, że tzw. wielka rewolucja francuska nie była zasadniczo reakcją na nadużycia monarchii absolutnej we Francji, reakcją dążącą do reformy ustroju, lecz przede wszystkim siłą ślepą ducha rewolucyjnego, który dojrzewał od czasów renesansu: ducha niewiary i zepsucia.

Gdy idziemy za twierdzeniami Kurtha, zrozumiałym staje się rozpętanie walki z Kościołem katolickim, która wyraziła się najpierw w aktach ustawodawczych (zabór dóbr kościelnych, rozwiązanie zakonów i zgromadzeń zakonnych, konstytucja cywilna duchowieństwa, obowiązek składania przysięgi na tę konstytucję), a następnie w prześladowaniu, bezprocesowym mordowaniu lub wysyłaniu po „procesach pokazowych" na gilotynę tych duchownych, którzy przysięgi nie złożyli. Papież Pius VI potępił konstytucję cywilną i zagroził ekskomuniką tym, co złożyli przysięgę.

Można by z powodzeniem przeprowadzić analogię między ówczesnym prześladowaniem we Francji, a współczesnym nam w krajach rządzonych przez komunistów. Konstytucja cywilna w praktyce znosiła jurysdykcję papieża, zaznaczając przy tym obłudnie, że dzieje się to bez szkody zarówno dla jedności wiary, jak i dla łączności z widzialną głową Kościoła. Jeden z najgorliwszych „księży konstytucyjnych" (tak zwano tych, co złożyli przysięgę na konstytucję cywilną duchowieństwa) stwierdzał, że nie zaprzestanie być głosicielem Boskiej religii, a jeśli trzeba będzie i męczennikiem, stwierdzając równocześnie, że w konstytucji cywilnej duchowieństwa nie widzi „po dojrzałej rozwadze" nic, co mogłoby obrażać święte prawdy, w które duchowieństwo ma wierzyć i których ma nauczać. Duchowni, którzy nie złożyli przysięgi zgodnie z zakazem Piusa VI, byli karani jako „winni spisku przeciw suwerenności ludu" i określani jako fanatycy. A „duchowni konstytucyjni" posuwali się do tego, że zasiadali w trybunałach sądzących księży nie-zaprzysięgłych i denuncjowali wiernych prześladowanego Kościoła za to, że ich, księży konstytucyjnych, nie uznawali i na ich Msze św. przychodzić nie chcieli.

Jeden Bóg zna liczbę i imiona tych, co za wiarę życie oddali w czasie rewolucji francuskiej. Co do tych, których fakt męczeństwa za wiarę da się ustalić, Kościół przeprowadza procesy beatyfikacyjne i kilkuset męczenników i męczennic czci już na ołtarzach. Dzieje tych wiernych to KARTY TRYUMFU Kościoła katolickiego we Francji.

Klasztor karmelitanek w Compiègne rozbrzmiewał chwałą Bożą przez 150 lat, gdy i do jego bram dotarła rewolucja francuska. Pewnego dnia przeorysza klasztoru w czasie modlitwy została natchniona myślą, by i ona i inne zakonnice złożyły siebie na ofiarę przebłagalną Sercu Jezusowemu na chwałę Bogu i za ocalenie Francji. Zakonnice z zapałem przyjęły Boże wezwanie, odmówiły akt ofiarowania i powtarzały go codziennie, czekając cierpliwie, aż Bóg ukaże im swą wolę. Uwięzione i skazane na śmierć szły radośnie na ścięcie jako na wesele z Oblubieńcem niebieskim — w białych płaszczach i z promiennym obliczem. Śpiewały „Salve Regina" i „Laudate Dominum", wchodząc zaś na szafot klękały prosząc o błogosławieństwo przed przeoryszą, która została zgilotynowana na ostatku. W 11 dni po ich ofiarnej śmierci zakończyły się we Francji „Dni Terroru". Św. Pius X, który beatyfikował w roku 1906 16 karmelitanek z Compiègne, powiedział: „Do francuskich karmelitanek mówię: jak wasze siostry przez ofiarę samych siebie zakończyły rządy Terroru, tak oby wasze modlitwy i ofiary zakończyły okrutne prześladowanie Kościoła przez Francję". Może i dzisiaj Bóg wzbudzi sobie takie ofiary!

Benedykt XV w roku 1920 beatyfikował 11 urszulanek z Valenciennes, zgilotynowanych za to, że wypędzone ze swego zakładu i z miasta, wróciły i potajemnie prowadziły szkołę. Na szafot szły z radością świętą i odwagą.

Pius XI w latach 1925, 1926 i 1934 beatyfikował 225 ofiar prześladowania przez rewolucję francuską. Błog. Jan Maria du Lau, arcybiskup Arles, na krzyki tłumu domagającego się „arcybiskupa z Arles", wyszedł jak Chrystus naprzeciw i powiedział: „Jestem tym, którego szukacie". Błog. Natalis Pinot, skazany za „spisek przeciw suwerenności ludu", na pytanie, czy chce umrzeć w szatach kapłańskich, odpowiedział: „Tak! Nie możecie wyświadczyć mi piękniejszej łaski." Na szafot wstąpił mówiąc głośno: „Introibo ad altare Dei".

Wśród męczeników beatyfikowanych w dniu 19 czerwca 1955 r. jest 14 duchownych świeckich, 1 zakonnik, 3 zakonnice i 1 osoba świecka, nauczycielka.

Procesy często odbywały się w rekordowym czasie, tak np. 14 nowych Błogosławionych zostało 21 stycznia 1794 r. przesłuchanych, skazanych i straconych w ciągu dwóch godzin.

Błog. Franciszka Tréhet wstępując na szafot 13 marca śpiewała „Salve Regina". Błog. Maria Lhuillier posłyszawszy wyrok śmierci padła na kolana i zawołała: „Mój Boże, jaką łaskę mi wyświadczasz zaliczając mnie pośrod Twoich męczenników, mnie wielką grzesznicę". A wstępując na szafot mówiła: „Mój Boże, ja mam umierać tak słodką śmiercią, a Ty tak wiele wycierpiałeś dla mnie".

Błog. Jakub Burin był jednym z księży, ktory podpisał przysięgę z zastrzeżeniem, ale gdy dowiedział się o potępieniu jej przez Piusa VI, nie tylko ją odwołał, ale pomimo zakazu odczytywania wiernym jakichkolwiek dokumentów Kurii Rzymskiej, odczytał w dniu Zesłania Ducha Świętego brewe papieskie. Wypędzony za to z probostwa, zmuszony żyć z dala od powierzonych swej pieczy duszpasterskiej wiernych, przez prawie 3 lata wśród nieustannych niebezpieczeństw pełnił z ukrycia swe obowiązki, aż do 17 października 1794. Tego dnia dwie dziewczęta udając, że chcą się nawrócić, skłoniły jedną starszą niewiastę, by porozmawiała z jakimś ukrywającym się księdzem katolickim. Ostrzegany, błog. Jakub powiedział: „Muszę iść, są dusze do ocalenia"; poszedł i zginął zastrzelony z zasadzki.

O Męczennikach można powiedzieć słowami Piusa XII: „Zjednoczona z Krwią Chrystusową krew Męczenników woła do nieba głośniej niż krew Abla, wstępuje przed oblicze Pana jako kadzidło o miłej woni, by wyjednać, ażeby na całą ziemię spłynęły łaski Ojca światłości i miłosierdzia."*)

W. F.

*) Por. przemówienie z 27 listopada 1946 r.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Nabożeństwa żałobne za duszę arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Wśród nabożeństw żałobnych za duszę zmarłego arcybiskupa - metropolity wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego należy wymienić nabożeństwo w stolicy chrześcijaństwa i w Londynie. W Rzymie w kościele polskim św. Stanisława ks. arcybiskup Gawlina odprawił Mszę św. i egzekwie przy katafalku. Ks. prałat Meysztowicz, jako były kapelan zmarłego arcybiskupa, scharakteryzował w kazaniu żałobnym niezwykłą prostotę, niezłomne męstwo i nieugięty charakter Zmarłego i omówił cierpienia, jakich w ciągu swego pasterzowania doznał niezłomny książę Kościoła: rozbicie archidiecezji, z której tylko skrawek pozostał w obecnych narzuconych granicach, aresztowanie i śmierć księży, wywożenie wiernych. Zmarły do końca życia kierował sprawami duszpasterskimi z Białegostoku, gdzie zamieszkał, okazywał ducha bojowego, ducha gorliwości dla chwały Bożej, ducha wiary i przywiązania do Stolicy Apostolskiej.

Reżym o śmierci arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Jeśli chodzi o audycje radia warszawskiego na wewnątrz Kraju, pominięto zupełnym milczeniem zgon arcybiskupa Jałbrzykowskiego. Wiadomość o śmierci podano w propagandowych audycjach obliczonych na zamieszanie pojęć u katolików na Zachodzie, które podaje specjalnie na to przeznaczona tzw. Warszawa III. W komunikacie dopiero w trzy dni po pogrzebie arcybiskupa powiedziano, że „w Białymstoku odbył się pogrzeb księdza arcybiskupa - metropolity Romualda Jałbrzykowskiego, byłego arcybiskupa wileńskiego, który po wojnie objął diecezję białostocką". Komunikat podaje w ten sposób dwa błędne twierdzenia. Ks. arcybiskup-metropolita Jałbrzykowski nie był „byłym" arcybiskupem wileńskim, ale do końca swego życia był rzeczywistym arcybiskupem-metropolitą wileńskim, bo za takiego uznawała go Stolica Apostolska, jedyna w tym zakresie rozstrzygająca władza. Poza tym nie ma diecezji białostockiej, bo nie powołała jej do życia Stolica Apostolska, a rządy świeckie w tym zakresie nie mają żadnej władzy. Białystok jest tylko częścią archidiecezji wileńskiej. Arcybiskup - metropolita Jałbrzykowski, wygnany siłą z Wilna, osiadł w Białymstoku, pozostając do ostatnich chwil swego życia pełnoprawnym arcybiskupem ordynariuszem całej archidiecezji wileńskiej.

Rozwodowe prawodawstwo w Kanadzie. Senat kanadyjski odrzucił 37 głosami przeciw 20 projekt prawa dotyczący zwiększenia liczby przyczyn koniecznych do uzyskania rozwodu. Głosowali przeciwko projektowi senatorowie katoliccy i większa część senatorów anglikańskich. Dotychczas w Kanadzie prawo świeckie przyznaje rozwód jedynie w wypadku cudzołóstwa.

J. JASIEŃCZYK

Słowo o Bitwie

Stron 268. Cena 17/6

Do nabycia

w Katolickim Ośrodku Wydawn.

VERITAS

12, Praed Mews, London, W. 2.

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«

12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

WINCENTY CYGAN

GRANATOWA ZAŁOGA

Epopeja wojenna marynarza polskiego, członka załóg O.R.P. „Błyskawica" i O.R.P. „Dragon".

W PRZEDPŁACIE ZA LIPIEC sh. 9/-.

Po 31 lipca 1955 — sh. 15/-.

FILM

RODOWODY FILMOWE

Spory o miejsce i czas urodzenia osób czy powstania rzeczy, państw, wynalazków pojęć — mają zawiłą i długą historię.

„Hepta poleis" — siedem państw greckich: Smyrna, Rodos, Kolofon, Salamis, Chios, Argos, Athene... spierało się o miano kolebki Homera, jak głosi dźwięczny heksametr.

Jak trudno uchwycić w mrokach legendy konkretną datę, od której liczy się wiek państwa, to wiemy najlepiej z naszych dziejów.

A wszystkie niemal wynalazki? Nie będzie zbyt przesadnym twierdzenie: ile wynalazków, tyle sporów o ich autorów i czas powstania.

Temu ogólnemu prawu sporu o metrykę podlega i f i l m, który w ostatnich dziesięcioleciach odbywa tryumfalny pochód i który na dobre zadomowił się w wielkiej rodzinie sztuki.

Owocny to zresztą rodzaj sporu. Istotę jakiegoś zjawiska zgłębić można bowiem najlepiej wtedy, gdy się wyjaśni dokładnie czas jego powstania.

„PREHISTORIA" FILMU

Kiedy film powstał?

Odpowiedź na to pytanie w dużej mierze zależy od tego, co się pod pojęciem „film" rozumie.

Dwaj wybitni znawcy filmu — **Joseph Gregor** w „Zeitalter des Films" (Lipsk 1932) i **Béla Balácz** w „Der Film. Werden und Wesen einer neuen Kunst" (Wiedeń 1949) — bardzo kontrowersyjnie określili czas narodzin filmu.

Gregor zaczyna swoją książkę zdaniem: „Film jest tak stary, jak ludzkość". Balácz natomiast redukuje wiek filmu — w roku 1949 — na 30 do 50 lat.

Opinie te rozciągają się oczywiście na dwa różne pojęcia filmu.

Gregor, który za istotę filmu uważa przedstawienie ruchu, pragnie widzieć narodziny „dziesiątej muzy" aż około ...1400 roku przed Chr. Pierwszy film — według tego szperacza „prehistorii" filmu — to grupa żniwiarzy przedstawiona na grobowcu Menesa: żńcy z sierpami w ręku „pochylają się sukcesywnie", dzięki czemu powstaje wrażenie kośby. Inny etap rozwoju „filmu" to opisany przez Herosa z Aleksandrii (prawdopodobnie 2 w. przed Chr.) osobliwy, przesuwający się rytmicznie tu i tam, aparat, rozwiązujący w swoisty sposób problem akcji filmowej. W tym herosowym aparacie „filmowym" można było pono zobaczyć młodego Bachusa, to przed małym leopardem, to znów przed ołtarzem, rozdającego mleko i wino; w następnym obrazie bachantki wieńczyły młodego boga a ich ruchy odpowiadały rytmowi całego aparatu. Był i happy end: nad rozbawioną i szczęśliwą gromadę spływała złotoskrzydła Nike.

W taki mniej więcej sposób, od antyku aż po wiek XIX, śledzi Gregor nieznaną historię fotografii ruchu, by uzasadnić swą niezwykłą, choć ujmującą tezę. Trudno ocenić stopień powodzenia jego usiłowań, bo jednak film to coś innego, niż tylko fotografia ruchu czy bierne odtworzenie rzeczywistości.

Film — to nie fotografia, ale cięcie i montaż. Film — to czynne przetworzenie rzeczywistości. Jako fotografia, mógłby być mniej lub więcej artystyczny, ale nie byłby w pełnym słowa znaczeniu s z t u k ą. A że nią w dzisiejszym stanie produkcji i teorii jest — co do tego nie ma już wątpliwości. Najbardziej radykalni przeciwnicy filmu kiwają na pewno głowami nad anatemami, jakie na tę rzekomą „antysztukę" rzucali srodzy krytycy. Takie zdania, jak Benno Ruettenauera („kinematograf, jak każdy mechanizm, zawiera w sobie więcej pierwiastków wrogich kulturze, niż twórczych") cytuje się obecnie chyba tylko dla podkreślenia, jak szybko dojrzało zrozumienie filmu.

URODZINY FILMU

Bezsprzecznie bardzo stara jest historia dążeń do pokazania ruchu. Bez nich film nie byłby możliwy.

Film, jako sztuka, obchodzi jednak w bieżącym roku dopiero sześćdziesięciolecie swoich urodzin.

22 marca 1895 roku odbył się pierwszy pokaz kinematografu braci Lumières w paryskim Société de l'Encouragement à l'Industrie.

Ustalenie tej historycznej daty nie przyszło i w tym przypadku łatwo. W trzech bowiem krajach — we Francji, w Ameryce i w Niemczech — od dawna prowadzone były, niezależnie od siebie, prace pionierskie, zmierzające różnymi metodami do wspólnego celu: uruchomienia wysoko już wtedy rozwiniętej fotografii.

Wiedza filmowa poświęciła wiele rzetelnego i obiektywnego wysiłku, by wyjaśnić daty i wydarzenia, które rozstrzygnęły o rozwoju filmu. W wyniku tych prac na pierwszej karcie historii figurują trzy nazwiska: braci Lumières, Tomasza Alvy Edisona i Oskara Messtera. (Nikt poważny nie bierze oczywiście pod uwagę „tez" bolszewickich, nie wartych wzruszenia ramionami.)

Po drobiazgowej eliminacji przyznano ostatecznie palmę pierwszeństwa i zaszczytne miano wynalazców filmu braciom Lumières.

Poprzedza ich cały szereg pionierów-eksperymentatorów, techników i naukowców, który od dawna przecierali drogę filmowi.

Tak więc Amerykanin Muybridge już w 1877 roku próbował sporządzić „żywą fotografię". Duże wrażenie robiły jego pokazy, w czasie których demonstrował galop koński za pomocą serii kamer fotograficznych.

Niemiec Anschuetz wynalazł elektryczny aparat do oglądania obrazów, tzw. Schnellseher". W 1887 roku pokazywał on w Berlinie pierwsze „żywe" fotografie, a w parę lat później zaprodukował seryjne zdjęcia bardzo szybkich, dla oka niemal nieuchwytnych, wydarzeń.

W międzyczasie Edison opatentował swój „kinetoskop". Aparat ten nie umożliwiał jednak projekcji obrazu na ekran. Filmy Edisona mogły być oglądane przez jednego tylko widza (à la „panorama"). Zresztą „żywy obraz" nie był celem dla tego genialnego wynalazcy. „Panorama" miała być obrazkowym uzupełnieniem jego gramofonu i wzmocnieniem efektu płyt. Edison jest więc poniekąd ojcem filmu dźwiękowego.

Tak więc Anschuetz wymyślił projekcje obrazu, ale bez zastosowania taśmy filmowej. Edison zaś miał film, ale nie mógł go rzucić na ekran.

Inaczej bracia Lumières: mieli perforowaną taśmę filmową i film swój rzucali na ekran. Były to zatem pierwsze pokazy filmowe w takiej formie, jak obecnie.

22 marca 1895 wyświetlili film długości 17 metrów. Pokazywał on robotników zakładu Lumières, opuszczających fabrykę w Lyon-Montplaisier. Seans trwał 44 sekundy. Wrażenie było ogromne. Po dalszych próbach odbył się 28 grudnia 1895 pierwszy publiczny pokaz filmu w Grand Café przy Boulevard des Capucinnes.

Pokazy filmowe braci Lumières były ogromną sensacją. Kopalnia złota zdawała się stać otworem. Wynalazcy nie mieli jednak w sobie nic z talentu współczesnych rekinów z Hollywood. Ojcowie nowoczesnego filmu oddali swój wynalazek do eksploatacji braciom Pathé, którzy wkrótce potem nie tylko założyli francuski przemysł filmowy, ale zapewnili sobie monopolistyczną pozycję w całej Europie.

Z PERSPEKTYWY CZASU

Od pierwszego pokazu braci Lumières do obecnego stanu sztuki filmowej wiodła długa, mozolna droga.

Technika filmowa przeszła liczne etapy: od prymitywnych scen do wielkiej gry arystycznej, od „kintopu" do kinoteatru, od technicznie słabego eksperymentu z dźwiękiem do wielkiego filmu dźwiękowego, od krzykliwej barwności pierwszych filmów kolorowych do filmu kolorowego naszych czasów, od małego skrawka płótna do dzisiejszego ekranu.

Film połączył mocnym węzłem prawdziwą sztukę z nowoczesną techniką, z wszystkimi demonami jej cichego piękna. Wyprowadził sztukę z królewskich i książęcych pałaców, z mniszych cel, z mansard i poddaszy — do fabryk, pod strzechę, na ulicę.

Przez dziesięciolecia pracowały nad tym liczne zastępy artystów, techników, naukowców, organizatorów.

I dlatego z perspektywy osiągnięć i stanu dzisiejszego filmu warto przypomnieć sobie o owym marcowym dniu sprzed lat sześćdziesięciu, w którym po raz pierwszy publicznie zaprodukowany został „cud" filmu, warto pomyśleć o tych wszystkich, którym zawdzięczamy niezaprzeczalną część składową nowoczesnego obrazu kultury.

J. A. Maryański

ŻYCIE KULTURALNE FRANCJI

FRANCJA NIE MA DZIŚ AWANGARDY

Wydany niedawno, wczrem lat ubiegłych, dodatek „Times Literary Supplement", poświęcony literaturze francuskiej, niewątpliwie ciekawszy jest od swych poprzedników. Zawiera on szereg artykułów, pisanych przez francuskich krytyków literatury, artykułów niestety przeważnie anonimowych, jak wszystko niemal, co się w tym tygodniku ukazuje.

Ciekawe uwagi zawiera artykuł o „zmieniającej się naturze awangardy", a raczej o jej zaniku we współczesnej literaturze francuskiej. Czymże jest awangarda? Ruch taki powstaje, gdy pojawi się pewna ilość ludzi, którzy zmierzają w tym samym kierunku. Mogą oni pracować niezależnie jeden od drugiego, mogą być złączeni węzłami przyjaźni osobistej. Ale celem łączącym ich jest brutalne zerwanie z uznanym konformizmem i „akademizmem" ich epoki, jest odrzucenie pewnych, weszłych w rutynę, metod pisania, odczuwania i myślenia. Gotowi są oni całkowicie zarzucić wszelkie związki z ciągłością tradycji, nawet tradycji wysokiego poziomu, na korzyść form bardziej przejściowych. W ten sposób powstała we Francji „Pléiade" jako reakcja przeciw literaturze XV wieku, dalej szkoła r. 1660 jako reakcja przeciw pisarzom epoki Ludwika XIII, szkoła romantyczna jako reakcja przeciw usychającemu klasycyzmowi, symbolizm przeciw ostatnim zapóźnionym romantykom i parnasistom — i wreszcie, po pierwszej wojnie światowej — dadaizm i w szczególności surrealizm.

Zdaniem autora artykułu, surrealizm jest ostatnią awangardą literacką we Francji. W literaturze współczesnej, powstałej po drugiej wojnie światowej, nie znajdujemy niczego podobnego. Tu i ówdzie spotyka się luzem chodzących nielicznych „insurgentów" — brak jednak ruchu, zmierzającego do poddania zasadniczej krytyce ustalonego systemu literackiego, czy do stworzenia nowego porządku wartości literackich.

W każdym razie nie ma obecnie we Francji żadnego czasopisma awangardowego. Wskrzeszona nieco ponad dwa lata temu „Nouvelle Revue Française" pozostała wierna swym tradycjom z okresu międzywojennego. Ciekawostki literackie, jakie daje, nie mogą wynagrodzić braku twórczych osobowości. „Les Lettres Nouvelles" są po prostu powtórzeniem „Nouvelle Revue Française". Wśród pism, które powstały po wojnie i utrzymały się po dzień dzisiejszy, niektóre, jak „Table Ronde", wyznają roztropny konserwatyzm polityczny i kulturalny, inne, jak „La Parisienne" — konserwatyzm burzliwy i pobudliwy.

Jeśli chodzi o organ Sartre'a i jego przyjaciół, „Les Temps Modernes", to jest to czasopismo przede wszystkim polityczne i tylko ubocznie niekiedy literackie. Bezpośrednio po wojnie były dwa czynniki, które pozwalały się spodziewać nowej awangardy; był to z jednej strony egzystencjalizm, z drugiej zainteresowanie społeczeństwa pewną liczbą poetów. Zainteresowanie to jednak nie trwało długo i żaden ruch zbiorowy z tego nie powstał. Jeśli chodzi o egzystencjalizm, to wywierał on silny wpływ na myślenie i na mody, którym ulegało społeczeństwo, ale ostatecznie ukształtował się jako ruch raczej filozoficzny i polityczny niż literacki.

I tu, zdaniem autora, tkwi jedna z przyczyn, dla których nie ma dziś w literaturze awangardy. Mianowicie, wedle wszelkich oznak, w epoce naszej zainteresowanie i zapał młodych intelektualistów kieruje się raczej ku badaniu dróg zachowania się w obliczu wielkich zagadnień społecznych i zagadnień przeznaczenia, niż ku zagadnieniom ekspresji czy uczucia. U egzystencjalistów występuje to szczególnie silnie; dowodem jest nowa książka Simone de Beauvoir (żony i współpracowniczki Sartre'a) „Les Mandarins". Sam Sartre z temperamentu nie ma w sobie nic poetyckiego — i to samo powiedzieć można o Madame de Beauvoir. U ich uczniów estetyka egzystencjalizmu ograniczona bywa zwykle do naśladowania techniki literackiej powieściopisarzy amerykańskich z pokolenia Dos Passosa czy Faulknera.

Przyczyny braku awangardy we współczesnej literaturze są zresztą rozmaite. Jedną z nich jest niesłychanie szybkie w dobie obecnej krążenie idei i snobizm, który momentalnie doskakuje do wszelkiej nowości. Wynikiem tego jest zamieszanie. Bez żadnej ironii powiedzieć można, że literatura francuska cierpi dziś więcej od przeceniania pisarzy przeciętnych i fałszywych talentów, niż od nieznajomości tego, co ma prawdziwą wartość. Ujemnym objawem jest także zbyt szybkie i raptowne „równanie linii" dokoła owych idei czy talentów. Pojawiają się epigoniowie, kreślone są paralele — i w ten sposób starte zostaje od razu poczucie oryginalności.

Sama zresztą waga kultury — zdaniem autora — raczej dziś przeszkadza twórczym ruchom, niż im pomaga. Cywilizacja, oparta przede wszystkim o muzea i biblioteki, niesie ze sobą ryzyko powstawania pokoleń kopistów. Żyjemy w okresie, w którym dostęp do kultury jest łatwy i rozpowszechniony, ale nie jesteśmy (albo jeszcze nie jesteśmy) w okresie, w którym kultura ta została zasymilowana w sposób doskonały. Jesteśmy dostatecznie inteligentni, by nauczyć się ze znajomości przeszłości wszystkiego, co potrzebne jest do zdemaskowania fałszywego talentu, — nie jesteśmy jednak dostatecznie silni na to, by z cywilizacji tej stworzyć styl nowy, jakiego potrzebujemy. Jest to zresztą zjawisko występujące nie tylko we Francji.

S. N.

ZDOBYCZE ARCHEOLOGII

NAJSTARSZY ALFABET

Od dwudziestu pięciu lat trwa już odkopywanie starożytnego miasta Ugarit, położonego nad morzem w północnej Syrii, na którego miejscu znajduje się obecnie osiedle Ras Shamra. Miasto Ugarit powstało gdzieś około roku 3.000 przed Chr., a więc blisko pięć tysięcy lat temu; istniało mniej więcej do r. 1200 przed Chr., kiedy uległo ostatecznej zagładzie w bliżej nieznanych okolicznościach. Około roku 1900 przed Chr. stało się stolicą królestwa Kanaanitów, zwanego także królestwem proto-fenickim. Mieszkańcy jego posługiwali się własnym językiem kanaańskim (zwanym dziś przez uczonych językiem ugaryckim) i pisali w nim, używając alfabetu, który jest najstarszym w ogóle ze znanych alfabetów. Podobnie jak niektóre inne kraje Bliskiego Wschodu, posługiwali się także językiem babilońskim, pisanym dawnym sylabicznym alfabetem Mezopotamii. W języku tym, który miał wówczas charakter języka międzynarodowego i dyplomatycznego, spisywano najważniejsze dokumenty państwowe Ugaritu. Przyczynił się zresztą do tego niewątpliwie fakt, że dynastia królestwa Ugaritu była pochodzenia babilońskiego.

Królestwo Ugaritu było w bliskich stosunkach z Egiptem faraonów od strony południowej, z drugiej zaś strony z królami Hetytów, których stolica znajdowała się na miejscu dzisiejszego Boghaz Kev w Anatolii (o jakieś 250 km na wschód od obecnej Ankary).

Pracami wykopaliskowymi kieruje Claude Schaeffer, dyrektor francuskiej ekspedycji archeologicznej do Ras Shamra. W ciągu ostatniego sezonu wykopalisk badano skrzydło wschodnie i południowe wielkiego pałacu królewskiego w Ugaricie. Jak dotąd — opowiada p. Schaeffer — odkopana przestrzeń pałacu obejmuje 27.000 stóp kwadratowych, co stanowi obszar trzykrotnie większy od zajmowanego przez pałac królów hetyckich w Boghaz Key. Jest to więc jedna z największych dawnych rezydencji królewskich, jakie odkopano na Bliskim Wschodzie. W dodatku pałac w Ugarit zbudowany jest w całości z kamienia, podczas gdy późniejsze pałace asyryjskie skonstruowane są głównie z cegły.

Jedną z interesujących rzeczy znalezionych w pałacu, jest piec do wypalania tabliczek, na których pisano dokumenty i listy. Pieca przeznaczonego specjalnie do tego celu nigdzieindziej do tej pory nie znaleziono. W piecu pałacowym znajdowało się około stu tabliczek, przeznaczonych do wypalania, nim jednak tę czynność dokonano, część pałacu zawaliła się, przygniatając ów piec. Jedna trzecia tabliczek nie była jeszcze gotowa i, choć je odnaleziono, napisy na nich nie są czytelne. Pozostałe natomiast zachowały się w doskonałym stanie; są wśród nich teksty listów od sąsiednich monarchów do króla Ugaritu, tłumaczone prawdopodobnie z języka babilońskiego. Są też między tabliczkami dokumenty treści gospodarczej, spisy członków różnych cechów i organizacji kupieckich, inwentarze towarów itd.

Niedaleko pieca — opowiada dalej w prelekcji radiowej p. Schaeffer — znaleziono wejście do archiwum, zawierającego 200 tabliczek — wszystkie są pisane alfabetem babilońskim. Tabliczki te pochodzą z kancelarii królów hetyckich oraz ich sprzymierzeńców i wasali i trzymane były razem w tej komnacie, która, zdaniem p. Schaeffera, musiała być częścią urzędu spraw zagranicznych w pałacu ugaryckim. Tabliczki zawierają pieczęcie królów hetyckich, które wzbudziły specjalne zainteresowanie uczonych, gdyż napisy na nich są w dwu językach: babilońskim i hieroglificznym hetyckim. Ten drugi odcyfrowany jest jak do tej pory tylko częściowo — obecnie przez porównywanie z tekstem babilońskim odcyfrowanie to pójdzie łatwiej. Mamy tu więc coś w rodzaju kamienia z Rosetty, dzięki któremu odcyfrowano ongiś hieroglify egipskie.

Dokumenty na tabliczkach wykazują, że Ugarit zdołał utrzymać niepodległość nawet w okresie agresywnej ekspansji Hetytów.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 24 lipca 1955.

NASZE SPRAWY

INDEKS

Umieszczenie na indeksie książki Bolesława Piaseckiego „Zagadnienia istotne" i jego tygodnika „Dziś i Jutro" jest jednym z rzadkich wypadków, gdy na indeks dostaje się książka polska.

Przeglądając bieżące wydanie indeksu (Index librorum prohibitorum SS. mi D. N. Pii PP. XII iussu editus, Typ. Pol. Vat., 1948, z dodatkiem z r. 1954), znajduję w nim — jeśli dobrze szukałem — tylko sześciu autorów polskich z XIX-XX stulecia. (Z dawniejszych wieków jest ich więcej; zwłaszcza polscy arianie wypełnili w indeksie szereg pozycji). Jest na indeksie Andrzej Towiański z dwiema książkami („Biesiada" z r. 1858 i „Do rodaków tułacz kończący tułactwo" z r. 1863). Jest Mickiewicz z dwiema drobnymi pracami w języku francuskim, pochodzącymi z epoki, gdy ulegał wpływom Towiańskiego i już nie tworzył jako poeta. („L'Église et le Messie", 1848 i „L'Église officielle et le messianisme", 1848). Jest Wacław Maciejowski z dwiema książkami z roku 1858. („Historia prawodawstw słowiańskich" i „Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian"). Książka Jana Pocieja „O Jezusie Chrystusie Odkupicielu tudzież o pierwotnych chrześcijanach" z roku 1857, aż do czasu, gdy zostanie poprawiona („Donec corrig."). I jest książka Karola Różyckiego, w języku francuskim, „Duński, prêtre zélé et zélé serviteur de l'oeuvre de Dieu". (1857). Ponadto jest na indeksie jedna książka litewska: „Trumpas rymo-kataliku katekizmas", której autorem jest Juozupas Ambraziejus (1907).

Oczywiście, to nie oznacza, że nie napisano w Polsce więcej książek, których katolicy nie mają czytać. Indeks nie jest kompletną listą książek, których czytanie jest katolikom wzbronione; jest tylko listą tych książek, co do których dopuszczalności mogą istnieć wątpliwości. Nie ma na indeksie ani Koranu czy Kabały, ani dzieł Lutra, ani dzieł Marksa, ani dzieł Lenina: że są to książki niekatolickie, lub antykatolickie, każdy wie. Nie ma także literatury brukowej, pornograficznej czy innej, których niemoralność jest oczywista. Natomiast są dzieła teologiczne, lub traktujące o historii Kościoła, o zagadnieniach etyki itp., pisane przez katolików, którzy popełnili jakiś błąd doktrynalny; bardzo często autorzy wycofują wtedy książkę z obiegu, albo przerabiają, dostosowując ją do wymagań katolickiej doktryny. Są dzieła filozoficzne, ekonomiczne itp., których antykatolickość nie jest faktem oczywistym. (Należy tu Kanta „Kritik der reinen Vernunft", J. S. Milla „Principles of Political Economy", Hume'a dzieła wszystkie, Kartezjusza siedem dzieł, z których sześć nosi dopisek „Donec corrig.", dwie książki Lorda Actona o soborze watykańskim itd.) Są książki wkraczające w dziedzinę etyki, np. książka holenderskiego lekarza, Van de Velde, istniejąca i w polskim przekładzie, o stronie lekarskiej pożycia małżeńskiego („Małżeństwo doskonałe"). Są wreszcie dzieła literatury pięknej, nieraz z punktu widzenia artystycznego będące utworami najwyższej wartości, ale moralnie niebezpieczne i nie będące dla katolików lekturą wskazaną.

Kodeks prawa kanonicznego wylicza w kanonie 1399 dwanaście kategorii książek, jakich katolikowi czytać nie wolno, mimo że nie są umieszczone na indeksie. Ujmując rzecz w streszczeniu można powiedzieć, że nie wolno nam czytać książek niemoralnych, jawnie bezbożnych czy heretyckich, ateistycznych, komunistycznych itp.

—◆—

Jest faktem, że rzadko trafia się w Polsce książka, kwalifikująca się do wciągnięcia na indeks. Uderzająca jest zwłaszcza nieobecność na indeksie naszej wielkiej literatury pięknej. Nie można przypuszczać, że przyczyną tego jest to, iż literatura ta jest Rzymowi nieznana; nie mówiąc już o tym, że Rzym potrafi śledzić także i to, co wydawane jest po polsku, a właściwie nie ma ani jednego wybitniejszego dzieła literatury polskiej, które by nie było tłumaczone na któryś z języków Europy zachodniej.

Rzuca się tu w oczy porównanie z literaturą francuską, której ogromna część, zwłaszcza gdy chodzi o wiek XIX i XX, wypełnia karty indeksu. Zróbmy tylko małe wyliczenie: J. P. Sartre, dzieła wszystkie („opera omnia"), A. Gide, dzieła wszystkie, A. France, dzieła wszystkie, M. Maeterlinck, dzieła wszystkie, E. Zola, dzieła wszystkie, A. Dumas ojciec, wszystkie powieści („omnes fabulae amatoriae"), A. Dumas syn, wszystkie powieści, H. de Balzac, wszystkie powieści, H. de Stendhal, wszystkie powieści, G. Sand, wszystkie powieści, V. Hugo „Notre Dame de Paris" i „Les misérables", G. Flaubert „Madame Bovary" i „Salambo"... Cóż po tym wyliczeniu z francuskiej literatury powieściowej zostaje? A wyliczenie to nie jest kompletne!

—◆—

Książka Piaseckiego jest pierwszą polską książką na indeksie od bardzo długich lat. Dostała się ona na indeks, ponieważ nie występuje jawnie przeciwko Kościołowi, ale głosi szkodliwą i nieortodoksyjną doktrynę, strojąc się w piórka katolickie.

Dekret Świętego Oficjum kładzie kres trwającej już od szeregu lat sprawie nieortodoksyjnych, lewicujących prądów w polskim katolicyzmie. Dekret ten dotyka wprawdzie tylko Bolesława Piaseckiego, który osobiście nie jest szczególnie typowym przedstawicielem tego polskiego postępowego katolicyzmu: jest to polityczny karierowicz i awanturnik, którego katolicka postawa jest świeżej daty i którego szczerość nie budzi zbytniego zaufania. Właściwi polscy katolicy postępowi, będący skrystalizowanym prądem już od czasów przedwojennych, nie są z Piaseckim identyczni. Ich poglądy nie idą bynajmniej tak daleko, jak poglądy Piaseckiego. Mimo to jednak potępienie Piaseckiego jest ostrzeżeniem także i dla nich. Ci wszyscy Dobraczyńscy, Jasienice, Aleksandrowie Bocheńscy — że ograniczę się tylko do wymienienia tych kilku nazwisk — są na niebezpiecznej drodze: nie są oni tacy sami, jak Piasecki, ale nie są od Piaseckiego bardzo dalecy. Muszą oni zrewidować swoje poglądy i z drogi zawrócić. Jeśli tego nie zrobią — narażają się na to, że i oni stoczą się w jawną herezję.

Sprawa Piaseckiego i jego tygodnika „Dziś i Jutro" nasuwa pewne porównania ze sprawą Charles Maurras'a i wydawnictwami „Action Française" we Francji, mimo że rzecz prosta nie ma mowy o jakimkolwiek porównaniu między Piaseckim a Maurrasem pod względem skali talentu, czy charakteru, czy roli w życiu Polski i Francji.

Dziennik i dwumiesięcznik pod tym samym tytułem „Action Française", pod redakcją Maurras'a były potępione w czasie od 29 grudnia 1926 r. do 10 lipca 1939, tj. do chwili, gdy się Maurras przed Kościołem ukorzył. Także siedem książek z obfitej twórczości Charles Maurras'a i dwie z twórczości jego przyjaciela, Léon Daudeta, znajdują się na indeksie.

Zwolennicy polskiego postępowego katolicyzmu mają przed sobą tę samą drogę, co trzydzieści blisko lat temu francuscy zwolennicy Maurras'a i jego „Action Française": muszą albo zerwać z tym, co w doktrynie, której sprzyjali, zostało przez Kościół potępione, albo znaleźć się poza Kościołem.

POLONUS

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

BRZYDOTA BERLINA ZACHODNIEGO. Znany historyk i pisarz angielski Geoffrey Barraclough opisuje w prelekcji radiowej (ogłoszonej następnie przez „The Listener") niebywałą brzydotę odbudowanych części Berlina zachodniego i w ogóle miast Niemieckiej Republiki Zachodniej. Uderza go chaotyczna mieszanina stylów z przewagą kosmopolitycznego modernizmu i zupełne nieliczenie się z tradycjami architektonicznymi. Cechą Berlina zachodniego — stwierdza Barraclough — jest pogarda dla harmonii estetycznej. „Drapacze nieba — ze szkła i stali — wyrastają bezładnie wśród grup budynków z okresu wilhelmińskiego i wśród pomników mitologii germańskiej — z cegły — pokrytych sztukateriami". Razi też widza — tym razem swą monotonią — „surrealistyczna elegancja" fasad sklepowych. „Elegancja" ta pozostaje w jaskrawym kontraście z nędzą pobliskich często baraków, w których gnieździ się do tej pory wielka część ludności Berlina.

Wystarczy pojechać do Szwajcarii, np. do Bazylei, by stwierdzić, że nowe budynki, równie w zasadzie nowoczesne, co w Niemczech zachodnich, mogą doskonale być zharmonizowane z dawnymi. Kontrast z Berlinem jeszcze silniej występuje we Wiedniu, gdzie z wielką pieczołowitością odbudowano dawne zabytki, przede wszystkim katedrę św. Szczepana, podpaloną przez cofające się wojska niemieckie, i nawet XIX-wieczny budynek opery — równocześnie zaś wielka jest troska o ład urbanistyczny. To samo spotykamy w odbudowanych po zniszczeniach wojennych miastach normandzkich, np. Caen i Evreux. „Nowe centrum miejskie Evreux ma równowagę i jedność, jakie spotykamy na malowidłach Vermeera; w porównaniu z nim Berlin zachodni jest po prostu chaosem rozbujałych indywidualizmów."

Zdaniem Barraclough, Berlin wschodni, sowiecki, odbudowywany jest pod względem architektonicznym lepiej. Główna jego arteria, aleja Stalina, ma monumentalność i jedność architektoniczną, z jaką — jak się wyraził niedawno jeden z krytyków austriackich — nie da się niczego porównać w Berlinie zachodnim. Odbudowa Drezna odbywa się z poszanowaniem jego barokowych tradycji architektonicznych — w Rostocku znów pielęgnowane są tradycje stylu hanzeatyckiego.

Dodajmy tu od siebie, że być może tak jest w Niemczech wschodnich, mimo panującej tam — w zestawieniu z Niemiecką Republiką Związkową — biedy i powolnego tempa odbudowy. Natomiast Warszawa „obdarzona" została ogromnym budynkiem i brzydkim i niezharmonizowanym z architekturą miasta, nad którym ów „Pałac Kultudy" dominuje z każdej strony.

Barraclough kończy swe uwagi stwierdzeniem, że u podłoża takiego właśnie charakteru odbudowy miast Niemiec zachodnich — bo podobnie wyglądają i Monachium, i Frankfurt, i Hamburg — leży reakcja przeciw tradycji i zbyt mechaniczne pojmowanie idei „europejskiej", o której tyle w Niemczech zachodnich się mówi od roku 1945, choć nigdzie może indziej nie ma mniej zrozumienia, co Europa naprawdę oznacza.

WYSTAWA PAMIĄTEK PO MARII ANTONINIE. W Pałacu Wersalskim, którego restauracja, dzięki ofiarności publicznej i pomocy amerykańskiej, czyni szybkie postępy, otwarta została wystawa pamiątek po nieszczęśliwej Marii Antoninie, żonie Ludwika XV. Wystawa obejmuje obrazy, listy, meble, jedwabie i ubiory i ilustruje całe życie królowej aż po jej zgon pod toporem gilotyny.

Eksponaty pochodzą bądź od zbieraczy prywatnych, bądź z muzeów całej Francji; posłużyły one do urządzenia szeregu sal w porządku chronologicznym życia Marii Antoniny. Między innymi znajduje się naszyjnik ze wspaniałych diamentów i szafirów, który kupił potem Napoleon, by go ofiarować Józefinie.

NASTĘPNY NUMER „ŻYCIA" UKAŻE SIĘ JAKO NUMER WAKACYJNY W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI 8 STRON DRUKU (Nr 31-32, z datą 31 lipiec — 7 sierpień 1955)

W NUMERZE: 4-STRONICOWY DODATEK P. T. „ŻYCIE KRAJU", omawiający m. in. problem „katolików reżymowych".

NUMER POWAKACYJNY (33) ukaże się normalnie z datą 14 sierpnia.

KRONIKA

DOKTORATY POLSKIE NA UNIWERSYTECIE GREGORIANUM W RZYMIE

Słynny uniwersytet Gregorianum w Rzymie w miesiącu czerwcu udzielił stopnia doktora trzem polskim księżom, miszkańcom Papieskiego Instytutu Polskiego w Rzymie, który przygotowuje wykształconych kapłanów do przyszłej pracy w diecezjach wolnej Polski.

10 czerwca ks. Klemens Muzioł na wydziale prawa obronił interesującą tezę doktorską pt. „Uprawnienia proboszcza co do udzielania dyspens". Ks. Muzioł jest kapłanem diecezji pomorskiej (chełmińskiej), w czasie wojny był na robotach w Niemczech, po wojnie skończył studia teologiczne w Rzymie na wyżej wspomnianym uniwersytecie i w roku 1948 otrzymał święcenia kapłańskie.

24 czerwca ks. Stanisław Jezierski na wydziale historii obronił obszerną, aktualną pracę, opartą na studiach archiwalnych, pt. „Spór o małżeństwa mieszane między rządem pruskim a arcybiskupem Marcinem Duninem". Ks. Jezierski (diec. poznańska) wyświęcony na kapłana w r. 1937 przebywał 4 lata w obozie koncentracyjnym Dachau, 4 lata wśród DP-sów w obozach uchodźczych w Niemczech, a w październiku 1949 r. wyjechał do Rzymu na studia historii.

27 czerwca ks. Michał Dobrzański na wydziale filozofii przedstawił oryginalną tezę z zakresu socjologii, pt. „Prawodawstwo społeczne w Polsce odrodzonej (1919-1939) w świetle zasad Kościoła". Ks. Dobrzański jest kapłanem diecezji włocławskiej, na kapłana został wyświęcony w roku 1937, przeżył 4 lata w obozie koncentracyjnym Dachau, a potem przez 4 lata pracował w obozach DP-sów w okupacji angielskiej w Niemczech. W r. 1949 wyjechał na dalsze studia do Rzymu.

OLIMPIADA w „Perle Dolomitów"

We włoskiej miejscowości klimatycznej Cortina odbędzie się w lutym 1956 roku Olimpiada Zimowa.

Miejscowość, ta nazywana „Perłą Dolomitów", leży na wysokości 1225 m nad poziomem morza, posiada 6.000 mieszkańców, pół setki hoteli, kilka kolejek linowych i wyciągów oraz znakomite warunki śnieżne w miesiącach listopad — kwiecień.

W okresie Olimpiady będzie w niej gościć 1.200 zawodników oraz drugie tyle działaczy sportowych i dziennikarzy oraz pracowników radia i telewizji. Spodziewany jest wielki napływ publiczności.

Trasy, zarówno biegowe jak i zjazdowe, uważane są za najtrudniejsze na świecie.

Budowany stadion hokejowy, w kształcie podkowy z żelbetonu, o trzech piętrach i dwu lodowiskach, zaprojektowany został według najnowszych zasad budownictwa sportowego.

POLSKA SZTUKA W HISZPANII

Hiszpańskie czasopismo „Corso Spaniol" zamieszcza pochlebną recenzję z wystawy obrazów młodej polskiej malarki Teresy Heydel. Wystawę zorganizował Salon Sztuki w Vitorii. Zawierała ona 28 obrazów olejnych Teresy Heydel. Hiszpańska krytyka odnosi się do jej malarstwa z dużym zainteresowaniem, zaliczając je do super-impresjonistycznej szkoły, mało jeszcze znanej w Vitorii. Obrazy młodej utalentowanej artystki oceniane są jako doskonałe w kolorycie, mistrzowskie w technice i bardzo odważne w ujęciu tematu. Na specjalną uwagę mają zasługiwać obrazy odtwarzające kwiaty, w których uderza zadziwiająca delikatność w oddaniu piękna kwiatu. Wystawa obejmowała także ciekawe martwe natury, pejzaże, kościoły, wspomnienia z Ziemi Świętej, Libanu i Guerniki, gdzie artystka mieszka już czas jakiś.

ZJAZD STRONNICTWA PRACY

Dnia 6 i 7 sierpnia w Leeds, Yorks., odbędzie się III Zjazd Kongresowy Stronnictwa Pracy na obczyźnie pod przewodnictwem gen. broni Józefa Hallera. W programie obrad zjazdu przewidziane są wybory nowych władz oraz ustalenie polityki Stronnictwa na następne dwa lata.

Listy do Redakcji

RUSINI ZAKARPACCY NIE NALEŻĄ DO CERKWI MOSKIEWSKIEJ

W numerze 23(415) ŻYCIA ukazał się ciekawy artykuł pt. „Sowieckie klejnoty na mitrze władyki — wpływy patriarchatu moskiewskiego w Ameryce i zachodniej Europie". Zawiera on jednak ważkie, choć na pozór drobne nieścisłości. Mianowicie, w pierwszej części jest bałamutne stwierdzenie, brzmiące:

„Parafie w USA, pozostające do dziś pod jurysdykcją patriarchy moskiewskiego, składają się przeważnie z Rusinów Zakarpackich i w porównaniu z grupami, które tej władzy nie uznają, stanowią znaczną mniejszość."

Jest przecież ogólnie wiadome, że Rusini zamieszkujący Wschodnią Małopolskę, Bukowinę (należącą przed wojną do Rumunii) i Ruś Podkarpacką (zwaną także Rusią Zakarpacką, wchodzącą do roku 1938 do republiki Czesko-Słowackiej) byli i są jeszcze k a t o l i k a m i, obrządku greko-katolickiego, czyli unitami. Jeśli zaś istniał pośród nich jakiś odsetek ortodoksów czyli prawosławnych, to był on niezmiernie znikomy.

Obecnie, wszystkie te ziemie zagarnęli Moskale i oczywiście pragną je zmoskwiczyć, choć obłudnie twierdzą, że włączają je do Ukrainy. W tym celu posługują się starą metodą, carską, wcielania gwałtem i represjami greko-katolików do moskiewskiej cerkwi prawosławnej. Dla ułatwienia sobie tego zadania, oporną prawosławiu część kleru greko-katolickiego wraz z jego episkopatem, uwięzili w potwornych „łagrach" sowieckich, na bezkresnych przestrzeniach imperium eurazjatyckiego. Wobec ludności ruskiej na zrabowanych ziemiach, zastosowano straszliwy terror „religijny", mający na celu zmuszenie greko-katolików (unitów) do przejścia na prawosławie. Czy to im się uda, jest inna sprawa. Ale dotyczy to ziem słowiańskich, ongiś polskich i węgierskich w Europie. Gdy idzie o tereny USA, lub innych krajów, to na szczęście Moskale tych możliwości dotychczas nie mają.

W artykule tym uderza czytelnika jeszcze inne bałamuctwo. Bowiem skoro jakoby „parafie w USA, pozostające do dziś pod jurysdykcją patriarchy moskiewskiego, składają się **przeważnie** z Rusinów Zakarpackich" — jakże więc mogą one zarazem stanowić „znaczną **mniejszość**" w „porównaniu z grupami, które tej władzy nie uznają"?

—◆—

Przebywając od 5 lat w USA, w pewnej mierze poznałem już tutejsze stosunki religijne. Byłem też już w wielu cerkwiach prawosławnych. Stwierdzam więc, że do cerkwi tych należą niemal wyłącznie byli obywatele rosyjscy wyznania prawosławnego. W olbrzymiej większości są to Moskale. Ale są także Białorusini i Ukraińcy. W ostatnich latach zresztą, doszło do niesnasek w tych cerkwiach i odejścia głównie Białorusinów, ale także częściowo Ukraińców.

Dla przykładu, podaję miasto South River, N.J., posiadające dużą i piękną cerkiew murowaną, na skraju miasta, przy głównej alei, obok ulicy Magiery (nazwanej tak z tego powodu, iż wszystkie domy przy niej, są własnością piekarza Polaka, Jana Magiery, pochodzącego z Zachodniej Małopolski). W tej cerkwi prawosławnej, przed kilku laty jeden z popów polecił równie jak on czerwonemu diakowi cerkiewnemu wywiesić nad wejściem do cerkwi czerwoną płachtę z sierpem i młotem, a wewnątrz podobizny Lenina i Stalina. Inny pop, o nazwisku polskim, gdyż kończącym się na „ski", nakazał usunąć te bezbożne dekoracje. Ponieważ jednak diak odmówił wykonania jego polecenia, ów pop sam je usunął. Sprawa ta wywołała spory huczek w mieście, zamieszkałym w większości przez Polaków, posiadających jeden z największych i najpiękniejszych kościołów polskich w USA, pod wezw. Najświętszej Maryi Panny Ostrobramskiej i to pośrodku miasta, u zbiegu dwóch głównych arterii miasta.

Rezultatem tego wybryku czcicieli bezbożnej doktryny komunistycznej, było... usunięcie przez władze cerkwi prawosławnej popa, który odważył się zdjąć bezbożne emblematy, tak, że do dziś nie wiadomo, co się z nim stało.

Niezależnie od tego, tę parafię prawosławną opuścili niemal wszyscy Białorusini i kilku Ukraińców.

Białorusini (nowa emigracja, pochodząca głównie z przedwojennej Polski) utworzyli własną parafię prawosławną, nabywając na ten cel starą, nieczynną już synagogę, w pobliżu polskiego kościoła, przy Whitehead Avenue, a nim zdołali ją przystosować do swych potrzeb religijnych, nabożeństwa swe mieli w salce domu prywatnego, zamienionej na kaplicę, obok moskiewskiej cerkwi.

Do nowopowstałej parafii białoruskiej, przyłączyli się bodaj już wszyscy Białorusini z dawnej emigracji. Natomiast nieliczni Ukraińcy, wstąpili do ukraińskich metodystów, jacy w „ruskiej dzielnicy" mają małą, drewnianą cerkiewkę.

Jak mię poinformowano, do nowopowstałej cerkwi białoruskiej uczęszczają na nabożeństwa już także nieliczni tu Serbowie i Bułgarzy oraz ponoć kilku Rusinów greko-katolików. Ale przekonałem się naocznie, że greko-katolicy, których jest tu niewielu, bywają w polskich kościołach. Rusini z Rusi Podkarpackiej natomiast uczęszczają do katolickich kościołów węgierskich i to zarówno w South River, jak i w New Brunswick. Nie dawniej, jak wczorajszej niedzieli, zamiast do kościoła polskiego w New Brunswick, udałem się do kościoła węgierskiego. Mając pośród Węgrów wielu przyjaciół, zapytałem ich, czy mogą mi wskazać jakiego Rusina. Ponieważ było ich kilku obok, sami się odezwali. Stwierdzili, że wszyscy od lat uczęszczają do tego kościoła i jako dawni obywatele węgierscy dawali pieniądze na jego budowę. Zapytani przeze mnie, czy są pośród nich prawosławni, odpowiedzieli mi językiem ruskim, że na ich ziemi, na Rusi węgierskiej, nigdy żadnych prawosławnych nie było, natomiast Rusini są greko-katolikami, a Węgrzy i Słowacy łacinnikami. Ale — dodali — to przecież wszystko jedno. Pan Bóg (Hospod Boh) jest ten sam i papież (papa rymski) także. Ponieważ jest ich mało, nie stać ich na budowę własnej cerkwi, a do prawosławnej nie chodzą i nigdy nie będą tam nawet zaglądać. To samo potwierdzili mi Węgrzy, którzy — rzecz ciekawa — wszyscy, bez wyjątku, władają dobrze językiem polskim, a niektórzy tylko, i to kiepsko, także niemieckim.

Tuszę, że uwagi te raczy Pan Redaktor zamieścić na łamach swego nader poczytnego pisma. Zarazem stwierdzam, że całość artykułu doskonale napisanego, nie nasuwa żadnych wątpliwości.

Zbigniew Łukaczyński
New Brunswick, N.J., USA

HENRYK SIENKIEWICZ

KRZYŻACY

2 tomy. Stron 846. CENA 13/6

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA I CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 64 Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA:** Mme **Z. Kulakowska**, 101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. Prenumerata kwart. 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska** Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks K. Stolarek, O.M.I.**, 29 Av. Gen. Leclerc La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.). Prenumerata kwart. 540 frs. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 13 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.